

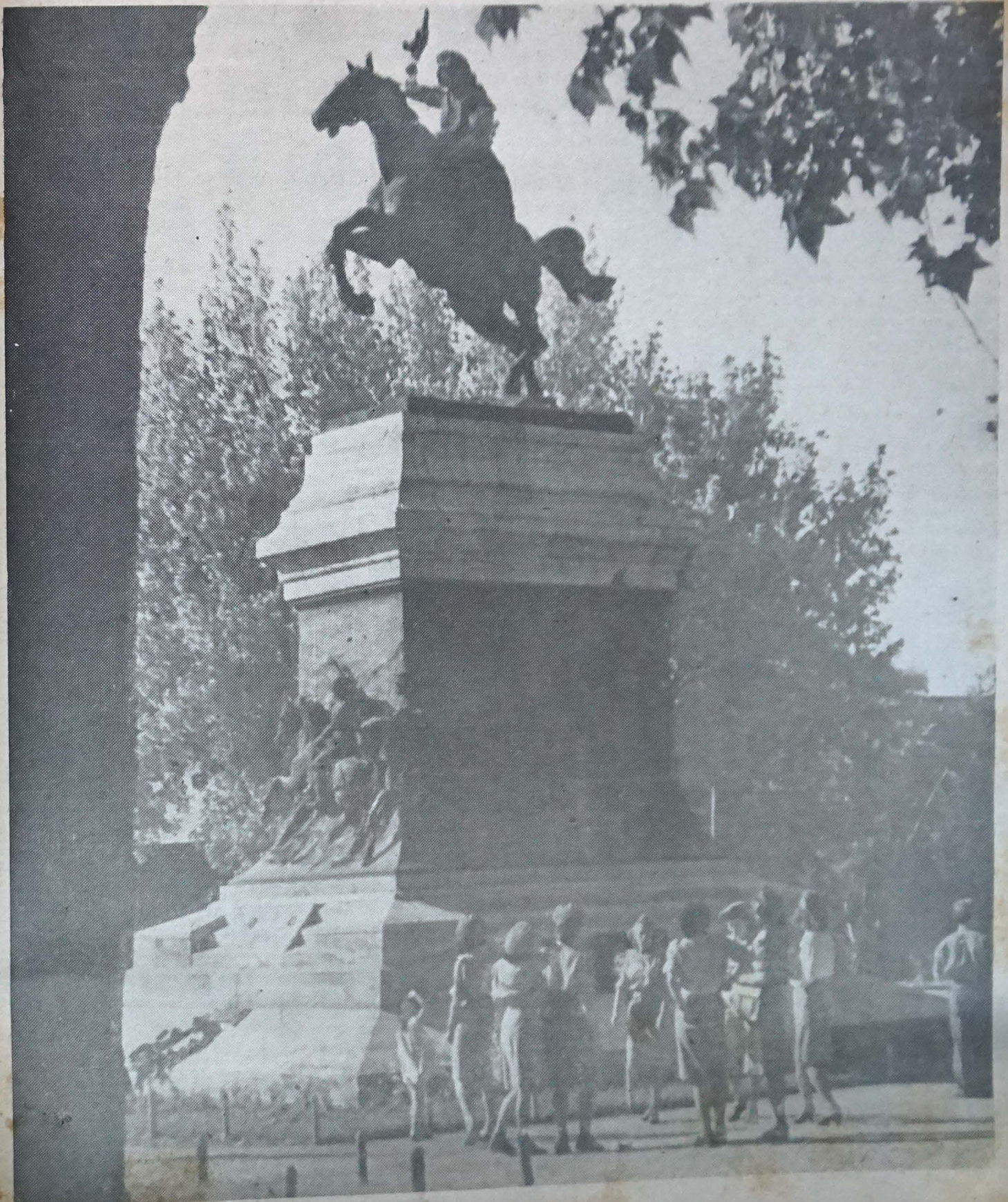
Chotnicka

PRZEMIO P.S.K.

Rok IV

Wrzesień 1946 r.

Nr 9 (36)



EX LIBRIS
N. IT. DABROWSKICH

DO ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU WOJSK POLSKICH

P. premier Tomasz Arciszewski wydał następującą odezwę powitalną do żołnierzy 2. Korpusu:

Witam Was serdecznie na wyspach brytyjskich, na które sprowadził Was twarde polski los żołnierski, w kolejnym etapie marszu do wolnej niepodległej Polski.

Korpus Wasz pod znakomitą dowództwem Generała Dywizji Władysława Andersa, dobrze zasłużył się Ojczyźnie. Do historii naszej, pełnej sławy żołnierskiej, przejdziecie, jako wspólnie, zwycięskie wojsko. Wędrówki z więzień i obozów w Rosji i w Niemczech oraz okupowanego Kraju do odrodzonego wojska Rzeczypospolitej, Tobruk, Monte Cassino, Ankona, Linia Gothów, Bolonia — pozostań w historii tej na zawsze, jako symbole pokonanego trudu i krwi ofiarnej przelanej w walce o Polskę.

Dziś, w zmienionych warunkach, przed nowymi stojącymi zadaniami. Nadal jednak, wierząc w swoją tradycję, świecić musicie między innymi przykładem niezłomnej postawy i wiary w przyszłość Polski.

Wyspy brytyjskie udzieliły przed sześciu laty gościny Panu Prezydentowi R. P. i Rządowi oraz Polakom Siłom Zbrojnymi, które po klęsce Francji wzmożoną zaopieczą obronę Wielkiej Brytanii.

Stąd okręty Marynarki naszej w ciężkiej sześciolatniej służbie i ofiarnych walkach roznieśli po morzach stawę polskiej bandery i zasłużyli sobie uznaniem najlepszych marynarzy świata. Stąd nasze dywizyjony lotnicze startowały do bitwy o Wielką Brytanię i później przez wiele lat zrywały się codziennie do walk zwycięskich, nalotów na terytorium nieprzyjacielskie. Stąd ruszyły do boju 1. Dywizja Pancerna i Brygada Spadochronowa, których

udział w wojnie na Zachodzie jest godny Waszych zwycięskich walk we Włoszech. Stąd szli emisariusze, instruktorzy i pomoc sprzętowa dla walczącego Kraju.

W wyniku minionej wojny Wielka Brytania odniosła zwycięstwo — Polska niepodległości dotąd nie odzyskała.

Okres pobytu na wyspach brytyjskich powinniśmy jak najlepiej wykorzystać, mając wciąż na uwadze powrót do uwolnionej Ojczyzny.

Starajcie się, przy zachowaniu pełnej godności osobistej i narodowej, tak ułożyć sobie stosunki z gospodarzami tego kraju, by w wyniku Waszego tutaj pobytu utrwalić przyjaźń szerokiach mas ludności, nawiązaną już przez Waszych kolegów w czasie wojny. Staje przed Wami nowe zadanie, zdobycia opinii publicznej brytyjskiej dla naszej sprawy. Każdy z Was będzie mógł na tym polu wiele dobrego zdziałać. Stosunek człowieka do człowieka w tym kraju jest w zasadzie przyjazny. Brytyjczycy szanują ludzi, którzy uczciwie walczą o swoją sprawę. Jestem przekonany, że zrozumieją oni istotę naszych trosk. Mamy zresztą na tej wyspie prawdziwych przyjaciół, którzy w trudnych chwilach nigdy nie zawiedli.

Pamiętajcie zarazem, że spełniście Waszypowinność żołnierską i Wasze zobowiązania sułusznicze bez reszty. Nasz wkład do wspólnego wysiłku wojennego jest naszą najlepszą logitymacją. Jakkolwiek ciężki jest nasz polski los, przed nikim nie potrzebujemy się korzyć.

Wśród rzeczy, których możemy i powinniśmy się tu nauczyć, jest przede wszystkim praktyka prawdziwej demokracji. Trzeba, abyśmy nasze zebrane tutaj doświadczenia mogli przynieść

kiedys, jako polityczny dorobek, do znękanej wojną i okupacjami Polski.

W r. 1898 znalazłem się na tej wyspie, by korzystając z wolności brytyjskich, prowadzić stąd walkę o uwolnienie Polski od najeźdźców. Pracowałem tu, tak jak wielu z Was teraz pracować będzie, jako robotnik. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z brytyjskim światem pracy. Z czasów tych zachowałem dobre wspomnienia. Z obczyzny wróciłem na ziemię polską do pracy i walki, która przyniosła nam w wyniku niepodległość w r. 1918. Tak samo i Wy, odporni na wszystkie stąbności, zaprawieni w bojach, znoju i tułaczce, wrócićcie kiedyś do Waszych stron rodzinnych, do wolnej prawdziwie Polski.

Traktujcie więc ten pobyt w Wielkiej Brytanii, jako jeden z etapów na drodze do niepodległej Rzeczypospolitej. Wszyscy Polacy znajdujący się na tej wyspie, stanowić musimy jedną zwartą, świadomą swych celów grupę. Każdy z nas jest częścią tego bogactwa narodowego i siły, jaką reprezentuje wolna społeczność polska, przebywająca czasowo na obczyźnie. Będziemy wspierać się wzajemnie, deżąc razem do przetamania wszelkich przeszkód na naszej drodze do Polski.

Wiem dobrze, że zaprawieni jesteście nie tylko w bojach zwycięskich ale i w przetamaniu trudów życiowych. Dalszcie tego wielokrotne dowody w ciągu siedmiu lat. Wierzę, że i nadal nic nie będzie Was mogło złamać i że wspólnie z nami potraficie spełnić obowiązki, jaki stoi przed tą częścią narodu, która żyjąc dziś w świecie wolnym — doprowadzić musi do zwycięskiego końca pracę dla Polski niepodległej.

TOMASZ ARCISZEWSKI

SZLAKIEM POLSKIEGO WRZEŚNIA

Pierwsze bomby, które spadły owego tragicznego pierwszego Września na rozłożoną wczesnym porankiem ziemię polską — zwiastowały dramat, którego dna — ciągle jeszcze daleki kres — sięgaliśmy już kilkakrotnie. Potworna otchłani tego dna otwarta się przed nami po raz pierwszy w ciągu owej, trwającej dni 37, samotnej Kampanii Wrześniowej, która — choć chronologicznie była pierwszą bitwą drugiej wojny światowej — nie stanowiła przecięt, wbrew dotychczasowym uproszczeniom — jej początku. Początek ten bowiem, zgodnie z zasadą, że wojna jest tylko dalszym ciągiem polityki, sięga ponurego dla całej ludzkości dnia 23 sierpnia 1939 roku, kiedy to żądzień konfliktu z woli i nakazu swych wysokich mocodawców — wzniesli jedynomyślni w Moskwie panowie Ribbentrop i Mołotow.

Nieruchliwość tzw. sprawiedliwości dziejowej jest przysłowiana. Totalitarna była dopiero w norymberskiej insonizacji tej „sprawiedliwości”, ażeby jeden z podlegaczy wojennych, zasiadający na ławie oskarżonych, pan Ribbentrop, przypominał ludzkości o istnieniu innego współwinnego tej samej zbrodni, pana Mołotowa, reprezentowanego narazie w Norymberdze — o ironio! — wśród... sędziów!

A przecież siedem lat temu, właśnie 23 sierpnia, obaj — oskarżający i oskarżony — kładli

swoje podpisy nie tylko pod jawnym sowiecko-niemieckim paktem o nieagresji, ale też pod tajnym, ujawnionym dopiero w Norymberdze protokołem tego paktu, postanawiającym rozbiór Polski i podział Europy między Niemcy i ZSRR. Oba totalizmy: brunatnyberliński i czerwony-moskiewski podawały sobie zgodnie ręce. Oba świadomie i dobrowolnie wybierały i ustalały swoje drogi.

Tło, na którym dojrzewała ta ówczesna przyjaźń obu partnerów winnych zbrodni wtrącenia świata w piekło nowej rzezi światowej — jest nie mniej ponure od samej zbrodni.

Trzeba bowiem pamiętać, że już od marca 1939 roku, w poszukiwaniu ucieczki przed widmem wojny, toczyły się w Moskwie rozmowy anglo-francusko-sowieckie, podjęte z inicjatywą najbardziej zaniepokojonej rozwojem sytuacji Wielkiej Brytanii. I, że mimo różnych zastrzeżeń tej ostatniej, nie godzącej się jeszcze wówczas na sowieckie apetyty aneksyjne, oraz mimo trudności wysuwanych stale przez coraz bardziej zachłanną Rosję — doszło do uzgodnienia i (nawet!), parafowania układu politycznego. Chodziło już tylko o podpisanie konwencji wojskowej...

...Od maja aż do połowy sierpnia 1939 — pisze w swich wspomnieniach z tego okresu Edward Daladier — rząd sowiecki w rozmowach

nie wysunął ani razu zastrzeżeń w sprawie sposobu niesienia pomocy Polsce, ani też w sprawie ewentualnego wkroczenia wojsk sowieckich na terytorium polskie... Dnia 14 sierpnia 1939 niespodziewanie Mołotow poruszył sprawę przejścia wojsk sowieckich przez terytorium Polski. Zostałem o tym poinformowany — stwierdza Daladier — 15 sierpnia wieczorem. 21 sierpnia, po długiej i wrzuszającej rozmowie z ambasadorem polskim w Paryżu i za zgodą jego rządu, telegrafowałem do Misji Francuskiej w Moskwie, upoważniając ją do podpisania konwencji wojskowej... Ale Ribbentrop już był w drodze do Moskwy... Od maja 1939 Związek sowiecki prowadził równoległe negocjacje z Francją z jednej strony i z Niemcami z drugiej. Związek sowiecki wolał podzielić i zagarnąć pół Polski niż jej bronić. I to właśnie stało się bezpośrednim powodem drugiej wojny światowej...

Cóż więc dziwnego, że w dniu owej złotrogiej decyzji moskiewskiej, powziętej 22 sierpnia 1939 r. — po przebiegłym, azjatyckim zwodzeniu zachodnich pentetów (od marca 1939!) — tryumfujący Hitler mógł oświadczyć dowódcą swoich sił wojskowych:

„Nie potrzebujemy się obawiać blokady. Wschód dostarczy nam wszystkiego. Wrażenie, jakie na Polskę wyrze-

nasz pakt o nieagresji z Rosją, który niebawem będzie ogłoszony — będzie straszliwe”.
Ale Hitler — parweniusz, strojący się na Cezara — mylił się równie głęboko, jak jego sprzymierzeniec kremłowski, Stalin. „Blitzkrieg” Hitlera, planowany jako marsz tryumfalny na spotkanie swego wachodniego sojusznika, z którym miał podzielić się światem — skończył się straszliwą klęską roku 1945. Błąd Stalina, choć wiodący poprzez początkowe porażki do podobnych jak hitlerowskie pozoranych sukcesów — nosi w sobie całą dziejową fatalność losów Hitlera: jak Hitler — Rosja stalinowska nie potrafi poniechać wywołanej z własnej woli agresji, aż zawali się pod ciężarem nieogarnionego ogromu niewoli i krzywd, które — jak niedawno tezu Hitler — niesie ze sobą ludzkości.

...„Dzięki szybkiemu uderzeniu na Polskę, najprzód niemieckiej a później czerwonej armii... ponury bękart Wersalu... przestał istnieć...” — deklamował pompacyjnie pan Mołotow 31 października 1939 r. na IV nadzwyczajnej sesji Rady Najwyższej ZSRR.

Dogasały właśnie wtedy ruiny bohaterskiej Warszawy. Siegaliśmy dna rozpaczy. Duszą narodową miotła gorycz klęski.

•••

Decyzja, powzięta przez Polskę na długo przed jej tragicznym Wrześniem znalazła między innymi swoje sformułowanie 5 maja 1939 r. w mowie sejmowej ówczesnego naszego ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka:

„...Pokój — reasumował swoje przemówienie min. Beck — jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, napewno na pokój zastępuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: ta rzeczą jest honor!”

Powzięcie decyzji przez Polskę nie było rzeczą łatwą. Było tym trudniejsze, że choć podejmowaliśmy ją w imieniu własnym i Europy, to przecięt była to w ówczesnej sytuacji decyzja w h r e w Europie. Linie podziału zarysowały się przecięt wtedy wyraźnie! Za Niemcami stanęły: Rosja, Włochy, Węgry, Hiszpania; „wstrzymywały się od głosu”, szukając lekkiej ucieczki w neutralności — Bałkany, Nadbałtyka, Skandynawia, Belgia, Holandia; wahała się Francja... Dosłownie nie było przed dwunastą, straszliwie późno, już po powzięciu przez Polskę decyzji — staje za nami Wielka Brytania.

„Gdyby Polska, podobnie jak Włochy, przyjęła współpracę z Niemcami pod ich kierownictwem; gdyby, podobnie jak Francja, skłonna była do uznania przodowniczej roli Niemiec w zamian za własną nieżykalność; gdyby, podobnie jak Sowiety, gotowa była pójść z nimi na spółkę i podział Europy — wówczas zabrałoby tej Europie, której Anglia w ostatniej chwili postanowiła bronić”.

(Ignacy Matuszewski).
Wybraliśmy możliwość najtrudniejszą: godną narodu i człowieczeństwa — możliwość walki.

•••

Ideologiczny front wojny przebiegał w pierwszym jej okresie konsekwentnie i wyraźnie. Pozbawione skrupułów siły obu zjednoczonych totalizmów — niemieckiego i rosyjskiego — sprzysięgły się zgodnie na podbój świata, którego grzy, podzielone między następców, miały zakwitać „nowym łaodem” współczesnego niewolnictwa, krwawego ogniem i mieczem przez Berlin i Moskwę.

Obraz zmaęnił zmienić się jednak i zaciemnił radykalnie, gdy do śmiertelnej walki dwóch ideowo wyraźnie rozgraniczonych światów: wolności przeciw totalizmowi — włączył się 22 czerwca 1941 roku nurt zapasów, związanych dotąd wspólnotą rozboju, obu agresorów — Niemiec i ZSRR — między sobą. Nie uzgodniony podział łatwej zdobyczy, wydzierają od siebie długą nawzajem, spychając głęboko w cień zasadnicze cele wojny.

Dojrzała paradoks, którego ciężar wisi nad światem jeszcze obecnie: — niedawne wspólne cele wojny obu totalizmów — berlińskie i moskiewskie — realizuje stopniowo, w miarę odnoszonych przy współudziale całego świata cywilizowanego zwycięstw militarnych,



CI, którzy rozpętał wojnę
Stalin i Ribbentrop po zawarciu paktu w r. 1939

jeden z totalizmów — totalizm moskiewski, który pozostaje ostatecznie na placu w gronie zwycięzców zachodnich i zwycięzcom tym swą cele totalitarne, więc nie to, w imię których wojnę przeciwko totalizmowi podjęli — narzucal!

Stajemy wobec zjawiska nietowarzonego w dziejach: — Państwo, którego ustroj totalitarny był i jest wzorem dla wszystkich totalizmów świata z hitlerowskim włącznie, przestawa się w ciągu jednej doby w państwo przodujące „demokracji” taktycznej i pod fałszywymi sztandarami tej przyswojonej, fałszywej „demokracji” — za zniewolonym i wstydlwym początkowo przyzwoleniem swoich nowych sprzymierzeńców zachodnich — nie tylko pacyzacji ideowe oblicze wojny, ale zagarnia również wszystkie jej zasadnicze owoce, okupując z nawiązką to wszystko, co do dnia 22 czerwca 1941 roku zrabowało na spółkę z innym, rozgromionym dzisiaj totalizmem — totalizmem hitlerowskim.

Właśnie w tym okresie po raz drugi ponęły zgłiszca samotnej znowu Warszawy. Siegaliśmy dna piekła innej teraz niewoli, która niosła nam chęć się rzekomo wojna. Pod nogami chrząkał gorący żużel nowej klęski.

•••

A jednak...
Byliśmy i pozostajemy nadal wierni tamtej naszej decyzji sprzed siedmiu lat, z którą spotykaliśmy wojnę. A choć cele tej wojny zdegradowane zostały do obrony czy walki o wpływy i interesy, które nie z ideowym podłożem konfliktu nie mają wspólnego — wierzymy przecięt niezachwianie, że sumienie ludzkości, przytłumione narazie i spotwarzone, wyzwoli się wreszcie i wstrząśnie ohydą tego wszystkiego, przed czym się świat dzisiaj lekliwie kory i płaszczy.

Dla nas nie ma pokoju z totalizmem czerwonym, jak nie było go z totalizmem brunatnym: pierwszy w równym stopniu jak drugi odpowiedzialny jest za zbrodnie wywołania wojny, jej ruiny i niewolę, która narzucal wzorem swego niedawnego a powalnego sprzymierzeńca. Właśnie dlatego, mimo potworności ofiar, jakie ponieśliśmy i nono-

simy, nasza decyzja z września 1939 roku nadal pozostaje aktualna. A choć, jak wówczas, podtrzymujemy ją również i dziś wbrew niejako Europie i światu, pewni jesteśmy, że, jak wtedy — Europa i świat będą z nami.

Cele nasze pozostają niezmiennione. Wiara — niezachwiana.

W siódmą rocznicę naszej ówczesnej decyzji wrześniowej możemy ją tylko potwierdzić:

Wybraliśmy możliwość najtrudniejszą, ale jedynie godną narodu i człowieczeństwa — możliwość walki.

M. MIZ

GWIAZDY NAD WARSZAWĄ

Gwiazdy jak dawniej — do rąk mi się sypia.

jak złoto na proch rozlatłe.
Noc się do oczu wlewa aksamatem gorącym, ciężko, uparcie...

Pieruska modlitwa dobra, beznamiętna, — sęczała traciła struny i chociaż czuje wszystko i pamiętam — drgania ich silić nie umiem.

Gwiazdy jak niegdyś — dalekie i jasne brylanty, na proch rozlatłe.
Noc, zniewolona ruin kręgiem ciałym, — najczystszy płaszc kobaltem.

A przecież inne: drzące i bolesne świąty samotne w przestrzeni.
Głos jakiś nowy w zgiełku się odezwał i — serce mi nagłe odmienił.

Serce już inne, serce ukwione (popioły wiatr rozwał szeroko!)
Wec je, o Panu, w kryształowe dłonie, zacczaruj łęcznym wzrokiem!

I daj mi się Ty — Prawdo, Ty — Wiaro, by wytrwać do świtu, do końca...
Gwiazdy jak biedne perły rozwiązane gubią się w mroku i płaczą...

BOŻENA OLEX

ROSJA A TURCJA

Drukujemy końcowy fragment broszury Tadeusza Schaetzla: „Rosja i Turcja na drogach historii”. Ta nieduża książka, która niedawno ukazała się w Jerolimowie, omawia zagadnienie dziś szczególnie aktualne wobec ekspansyjnej polityki ZSRR na Bliskim Wschodzie.

W miarę, jak po okresie niepowodzeń wojennych czerwona armia zaczęła rozwinąć działania ofensywne, a Wielka Brytania i Stany Zjednoczone darzyć zaczęły sowiecką Rosję Sowiecką uznaniem za dokonania rosyjskich sił zbrojnych, rosło na Kremlu poczucie siły i mocnego stanowiska międzynarodowego. W ślad za tym rosły także postulaty polityczne wysuwane przez rząd sowiecki wobec obu dużych aliantów, po czym akcje polityczne Moskwy przebrały formy przekraczające zakres ustalony porozumieniem Wielkiej Trójki.

Z wiosną 1939 roku wieckom szarym zagranicznych Potemkin rozpoczął w Ankarze rokowania o pakt wzajemnej pomocy między Związkiem Sowieckim i Turcją. Zachęcał równocześnie do utrzymania polityki porozumienia bałkańskiego. Dla kontynuowania rokowań udał się do Moskwy w jesieni 1939 roku turecki minister spraw zagranicznych Saradżoglu.

Negocjacje, które rząd sowiecki z nim przeprowadzał, miały zupełnie inny charakter przed przyjazdem ministra nazistowskiego, który zaś po podpisaniu umowy Ribbentrop-Mołotow. Naczechowane w pierwszej części pobytu Saradżoglu niechęcią do zerwania rokowań i oziębiając stosunków z Turcją, wyraziły się w drugiej części w zupełnej nieustępliwości ze strony Mołotowa, która doprowadziła do zerwania rozmów i wyjazdu Saradżoglu z Moskwy. Turecki minister spraw zagranicznych mógł stwierdzić odrodzenie się imperializmu rosyjskiego. „Gotowość, z jaką Rosja uprawiała projekt zdobycze Rzeszy, która jej przyniosła połowę Polski, wciągnęła Rosję na drogę starych rewolucyj. Jak za czasów Katarzyny Wielkiej, jak za czasów Aleksandra I transakcje dokonane na Zachodzie otwierają „sprawę wschodnią”. (Gefencu: Preliminaires de la guerre a l'Est”)

Kiedy armie III Rzeszy stanęły na Bałkanach i znalazły się na drodze, która przez Grecję i Anatolję prowadzi na Wschód, rząd turecki, nie oziębiając stosunków z Niemcami, zajął zdecydowane stanowisko, oświadczając w niezachodzący sposób o obronie swych granic i terytorium przed każdą agresją. Pomiędzy Turcją i Rosją nastąpiła wtedy wymiana deklaracji. Moskwa powołując się na rosyjsko-turecki pakt nieagresji z roku 1925, zapowiedziała Turcji o tym, że „może ona liczyć na całkowite zrozumienie i neutralność, na wypadek gdyby została zmuszo-

na do wejścia do wojny dla obrony swych terytoriów”. Po wybuchu wojny między III Rzeszą i Związkiem Sowieckim, Turcja zadeklarowała swą neutralność i dochowała jej w przyjaźniej postawie dla Narodów Zjednoczonych.

W styczniu 1942 roku rząd sowiecki podkreslił rzeczywistą użyteczność dla aliantów tej podstawy, jaką wobec konfliktu światowego zajął rząd turecki. Także w ciągu lata 1942 roku wyraził rząd w Moskwie zadowolenie z powodu zarządzeń wojskowych, podjętych przez sztab turecki. Było to w okresie, w którym Związek Sowiecki stał w ogniu najcięższych zmagania z armią niemiecką. Po zimowej kontrofensywie czerwonej armii, przyszła wielka ofensywa niemiecka, mająca na celu przecięcie Wołgi i dotarcie do źródeł ropy na Kaukazie.

Pod koniec roku 1943 sytuacja Związku Sowieckiego ulegała całkowitej zmianie. Akcje ofensywne, rozwinięte przez czerwoną armię do Stalingradu, osiągnęły już brzegi Dniepru, a położenie międzynarodowe Rosji Sowieckiej określił przyjazd do Moskwy sekretarza stanu Cordella Hull'a i ministra Edena oraz konferencja w Teheranie.

W tym okresie komisarz spraw zagranicznych Mołotow sformułował wobec rządu tureckiego zarzuty m. i. także o zawarciu przez Turcję paktu przyjaźni z Niemcami, w czerwcu 1941 roku, w przededniu ataku Hitlera na Rosję Sowiecką. Fakt zawarcia tego paktu został podniesiony jako zarzut pod koniec roku 1943, podczas gdy z początkiem roku 1942 postawa Turcji oceniona została pozytywnie. Zarzuty skierowane przeciw Turcji zbijał silnymi argumentami prezydent Ismet Inönü, przypominając m. i. że zanim Niemcy stanęli przed bramami Stambułu i zaproponowali Turcji pakt przyjaźni, zawarły został pakt nieagresji z Rosją Sowiecką.

Na wiosnę 1945 roku, kiedy losy Niemiec hitlerowskich były już przesądzone, rząd sowiecki wypowiedział Turcji pakt nieagresji z 1925 roku. Sposób, w jaki to nastąpiło, wywarł ogólnie wrażenie bezpośredniego zagrożenia Turcji ze strony Rosji Sowieckiej. Otwarta została również sprawa konwencji zawartej w Montreaux, regulująca ruch cieżnin tureckich. Ze strony Moskwy podjęty został poza tym postulat przejścia rejonów Karsu i Ardaganu pod władzę ZSRR.

Zmiana charakteru stosunków między Turcją i Rosją, które się utrzymały w ciągu dwudziestu pięciu lat, wyszła od strony Rosji Sowieckiej. Ma ona cechy zerwania niepisanego zawieszenia broni, które na krótki okres otrzymało parawojkowy napór Rosji ku południowi. Źródła tych zmian można się dopatrywać w przeobrażeniach które zaszły w ZSRR

w okresie między dwoma wojnami światowymi i na skutek drugiej wojny oraz w fakcie wejścia Turcji na drogę przyjaźni z Rosją Sowiecką z Wielką Brytanią.

W Rosji odżyło stare imperium rosyjskie. Naważana została ciągłość z dawnymi wiekami, tradycje uzyskały prawo obywatelstwa, odrodziła się rosyjska nacjonalizm, a porzucenie narzędzia polityki międzynarodowej — prawostawie i panslawizm — znowu weszły w użycie. Zmiany te nie pociągnęły za sobą bynajmniej rezygnacji z tego narzędzia pracy zagranicą jakim jest międzynarodowy komunizm. Wszystkie środki są wykorzystywane równocześnie do tego, by Związek Sowiecki osiągnął największą siłę polityczną i militarną oraz by stało się możliwe uformowanie ustroju świata według woli i interesów Moskwy.

Rosja powróciła w łozysko carskiego imperium, wysłane szkarłatem rewolucji. Oznacza to możliwość ekspansji Związku Sowieckiego we wszystkich kierunkach. Jednym z nich jest także kierunek południowy ze wszystkimi utartymi w przeszłości drogami. Prowadza one przez Kaukaz do Karsu, Ardaganu i historycznej Armenii; do Konstantynopola i cieśnin; na Bałkany z problemem słowiańskim i prawostawiem.

W odróżnieniu od przeszłości, zastaje Rosja na tym kierunku nie „chorego człowieka” i współników, którzy chcą go pogrzebać; dzelić się spadkiem, ale państwo bitne i przygotowane do walki o swe granice i polityczną niezależność. Droga prowadząca przez wschodnią część Morza Śródziemnego do Indii jak i do całej Azji, nie straciła na znaczeniu. Turcja, która nie rozciąga panowania na Egipt i inne kraje arabskie, jest dla Wielkiej Brytanii, a ostatnio i Stanów Zjednoczonych, naturalnym sojusznikiem w stosunku do tych, którzy tej drodze zagradzają. Doświadczyla tego III Rzesza i faszystowskie Włochy. Na rozległych ziemiach arabskich znów krystalizuje się samodzielna siła polityczna, w której Turcja zyskuje wartościowego sprzymierzeńca.

Turcja przeszła także poważne przeobrażenia w ciągu okresu czasu dzielącego dwie wojny światowe. Geneza narodowej rewolucji tureckiej sięga w odległą przeszłość. Po okresie marazmu, który na parę stuleci zatrzymał postępek państw i narodów całego Bliskiego Wschodu, kolejne rewolucje doprowadziły w Turcji do modernizacji armii, administracji, zewnętrznych form życia i jego techniki. Zachód przenikał coraz głębiej w życie imperium osmańskiego. Evolucja, która przeszedł Zia Gök Alp, filozof i czołowy ideolog nowej Turcji, wskazuje na drogę, którą odbył ostatnio proces przeszczepiania myśli Zachodu na narodowy grunt turecki.

Turkizm z okresu młodoturków sformułowany został przez Zia Gök Alpa w wyznaniu: „Należę do Narodu Tureckiego, rodziny narodów muzułmańskich i cywilizacji europejskiej.” Istniała jednak w tym ujęciu wewnętrzna sprzeczność. Teokracja nie godziła się z nacjonalizmem i postępową cywilizacją. Toteż kemalizm musiał obrócić się, jak p/sze Tekin Alp, przede wszystkim przeciw teokracji. Zerwanie z teokracją struktur państwowej, w pierwszym rzędzie w szkolnictwie i wymiarze sprawiedliwości, otworzyło dopiero szeroka drogę do postępu. A podstawę życia zbiorowego przyjęła została zasada narodowa. Siegnęto do własnych tradycji i do źródeł własnej kultury. „Kultura zachodnia przyswojono sobie dopiero po jej znacjonalizowaniu”.

Turcja należy dzisiaj niewątpliwie do zespołu państw kultury zachodniej. Jej granice od północy są tak samo granicą dwu światów, jak były nimi zawsze granice wschodniej Rzeczypospolitej.

Pod Beresteczkiem islam w sojuszu z

prawostawiem walczył z Zachodem. Dziś jest inaczej. Wielka Droga idzie z Zachodu wszystko, co dobre i co złe. Bez przeszkód i zahamowań ze strony Turcji przenika w głąb Azji. Związuje stopniowo dwa kontynenty, dwie grupy różnych kultur, z których każda ma poza sobą ogromne tradycje pracy mózgu, serca i miecza. Coraz częściej dobra wola obu stron usuwa z drogi dzielące je zapory. Interesy państw i pragnienia narodów w tym samym kierunku.

Łączy je także podobny stosunek do Związku Sowieckiego.

Jeśli się przejdzie kolejno dokumenty rosyjskiej myśli politycznej... a zarazem uprzytomni sobie treść dokonanych historycznych państw rosyjskiego, wówczas musi się stwierdzić dwie rzeczy: po pierwsze, że Rosja stanowi świat sam w sobie, po drugie, że w dziejach Rosji istnieje konsekwentna ciągłość zaborszych wysiłków.

I dziś nie jest inaczej. Jak olbrzymie średniowieczne zamczy-

sko stoj Rosja Sowiecka groźąc przy Wielkiej Drodze. Spoza otaczających murów, poprzez zwodzone mosty weszły siły Związku Sowieckiego na dawny szlak rosyjskiej ekspansji, prowadzący przez dolny bieg Dunaju na Bałkany i ku Stambułowi. Stanęły one na obcych sobie pobojowiskach Kosowego Pola, Warny i Mohacza oraz na polach bitew armii carskiej Prutu, Szumli i Plewny. Nie są tam ani jako sojusznicy Zachodu przeciw naporowi Klacemu z Azji, ani jako sprzymierzeńcy Wschodu dla powstrzymania naporu grożącego mu z Europy. Budzą nieufność i niepokój i u jednych i u drugich, a w krajach które zajmują, wywołują rosnące przeciwdziałanie. Rosja Sowiecka przecięła Wielką Drogę i wkroczyła na nią jako świat sam w sobie, dla którego obecne są wielkie procesy dokonujące się między Zachodem i Wschodem.

Turcja i Rosja, tak jak należały w zaraniu swych dziejów do dwóch różnych światów, tak należą i teraz. Ona te pa-

stwa pozostawały pod dużym wpływem zdobyczy Bizancjum. Ale każde z nich przysięgło od greckiego imperium co innego i na inny grunt padł u obu posiew bizantyński. Stosunki, które istniały między Turcją a Rosją w ciągu kilku wieków oraz walki, które te państwa toczyły między sobą w tym okresie, nie zatarty pierwotnych, głębokich różnic. Nie spowodowały one tego zbliżenia między Turcją i Rosją, jakie się dokonało między Turcją a Państwami położonymi od niej na zachód. Wówczas, kiedy zamknięty w sobie, ponury świat Rosji Sowieckiej stoi na uboczu z miotem w podniebionym reku, Zachód i cały niemal Wschód podchodzi zaczynają ku sobie z wielką ufnością. Są być może już na progu wywołania istniejących między nimi od praktyków różnic. Uchylane są stopniowo przeszkody uniemożliwiające dotąd wzajemne zrozumienie się.

W procesie tym istotną rolę przypada Turcji. TADEUSZ SCHAETZEL

KONFERENCJA NIE... POKOJU

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Upłynął właśnie miesiąc od chwili, gdy współczesna paryska Wieża Babel przystąpiła do montowania pokoju. Wyniki, niestety, nie są budujące. Nazwana nieopatrzenie „pokojową”, Konferencja nie tylko nie doszła jeszcze do sprecyzowania żadnej konstrukcji pokojowej, ale — po bezowocnych choć głośniejszych obradach — zapędziła się w taką sytuację, w której już nie pokój, tylko sama Konferencja należała może w szybko ratować. Wyszczególniony w tym względzie min. Bevin sięgnął po lekarstwo na razie skuteczne — zaproponował mianowicie, „prywatnie” narady ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki.

Podjęto więc nową próbę klajstrowania...

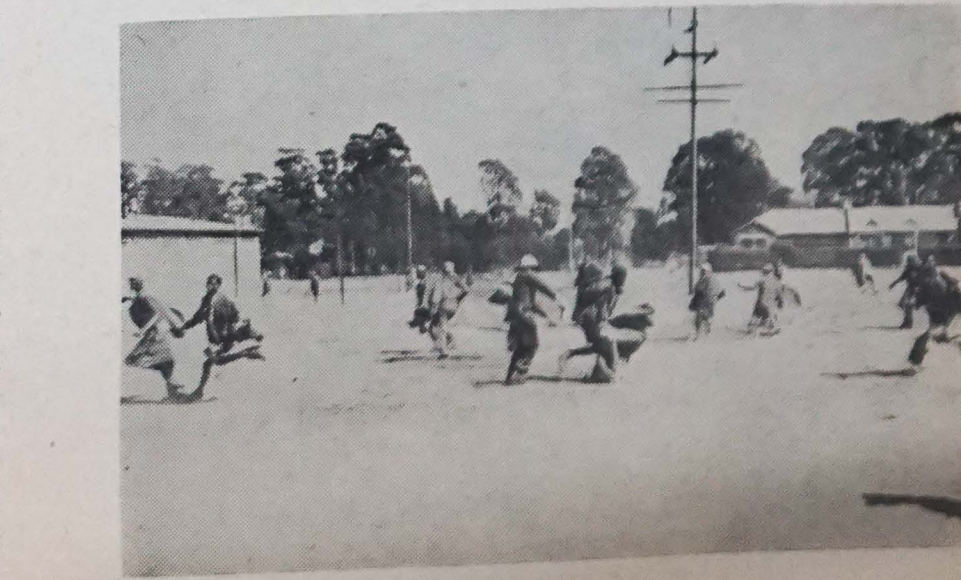
O pokój wśród zwycięzców

Tymczasem konferencja Paryska potwierdziła, wydając się, dostatecznie wymownie, że nie sposób jest zawierać pokój ze zwycięzonymi, gdy zwycięzcy między sobą zawrzc tego pokoju nie potrafią. Stąd absurdalność sytuacji i jej śmieszność: Pałac Luksemburski jest terenem wojny politycznej między zwycięzcami, usiłującymi jednocześnie pokój polityczny zwycięzonym. Iluzoryczność takiego pokoju jest tym bardziej niepokojąca, że z góry zrezygnowano z narzucenia go już obecnie Niemcom — najważniejszemu z wczorajszych wrogów, choć właśnie uregulowanie sprawy Niemiec (i Austrii) warunkuje ukształtowanie i przyszłość polityczno-gospodarczą Europy.

Faryzeusz pokoju

Na dobry pokój zasłużyliśmy napewno, bo zapłaciliśmy za prawo do niego drogo, bardzo drogo. Ale — jak to najwymowniej potwierdzają obrady paryskie — świat nie chce pokoju za wszelką cenę. Podobnie, jak nie chciał go 1 i 17 września 1939 r., czy w okresie dalszych ponurych lat bezkompromisowej walki z zalewem brunatnego totalizmu. Toteż nie wszyscy dzisiejsi rzecznicy pokoju są jego rzeczywistymi apostołami. Co więcej — wśród tych, którzy najwięcej deklamują, najwięcej jest faryzeuszów. Dla tych ostatnich stabilizacja w świecie, traktaty rzetelnie zawarte, szczerze umowy i spokój — to kres zerwania i grabieży

Platego podział „stron” na Konferencji Paryskiej nie mógł być dla nikogo, kto patrzy poważnie na rozwój wydarzeń międzynarodowych — niespodzianką.



Fot. Keystone Agency

Demonstracje studentów hinduskich w Kalkucie, podczas których zginęło 34 osoby, a 192 odniosło rany



Trzeba podnieść się z gruzów. Bo próżne oczekiwanie na coś, co stać się może, ale nie napewno. Dopóki się w nas samych kleśka nie odstanie — na nic wszelkie wysiłki i próby na zewnątrz.

Nie krucha porcelana. Szara glina zwykła, rozbita w prostym kształcie swym, napewno droga. Nie naprawi jej wzniosłość, mądrość nie rozwiła, ni szcztątki jej ożywi łaską, lub gniew Boga.

Przemoc i sprawiedliwość, bezład i zasady są jak odgłosy burzy, słyszanej z daleka. — Jednak groźny bezmiar wzrostu i zagłady — oto jest świątla spowiadz szarego człowieka.

I chociaż wielban dzielnych, co mocni wyrosli z ogromu siły i własną zniszczyli drogą — Kocham was, pogubieni, słabi ludzie prości, których podarte dusze zlepić się nie mogą.

BOŻENA OLEX

Litwin amerykański nie mógł pogodzić się z myślą, że kraj jego ojców i braci, za zgodą Stanów Zjednoczonych, zostaje oddany w niewolę i na wyniszczenie.

Protesty jednak Amerykanów, pochodzących z zaprzędanych krajów Europy Wschodniej, Waszyngton zbywał milczeniem, albo też dawał odpowiedź niezadawalającą.

Naturalną reakcją na to lekceważenie był plan zjednoczenia sił tych grup narodowościowych w Ameryce, których narody macierzyste zostały zaprzędane w niewolę komunistyczną. Plan ten pojawił się spontanicznie w czasie spotkań liderów poszczególnych grup.

W ten sposób doszło do pierwszej, informacyjnej konferencji przedstawicieli kilku wielkich organizacji braterskiej pomocy Amerykanów polskiego, słowackiego, serbskiego, karpato-ruskiego pochodzenia, która odbyła się w Pittsburgu w styczniu 1946 roku. Na konferencji tej stwierdzono konieczność wspólnego przedstawienia się dalszemu szerzeniu się wpływów komunistycznych.

W pierwszych dniach marca br. odbyła się druga konferencja tych grup — już w nieco szerszym gronie — również w Pittsburgu. Na tej drugiej konferencji zdano sobie sprawę, że zakres kontrakcji należy rozszerzyć, zarówno w jej celach jak i zasięgu działania w poszczególnych grupach. Zdano sobie również sprawę, że zjednoczenie wysiłków jedynie w akcji obronnej przeciwko komunizmowi — bez skoordynowania równoczesnego akcji politycznej — byłoby niewystarczające.

Gdy wreszcie dnia 10 i 11 kwietnia zebrał się zjazd przedstawicieli siedmiu grup narodowościowych w Waszyngtonie stwierdzono, że reprezentacja Polaków, Słowaków, Litwinów i Kroatów składa się z przedstawicieli naczelnych organizacji tych grup, które zrzeszają wszystkie organizacje braterskiej pomocy,

parafie, kluby i towarzystwa, stojące na platformie obrony obecnego ładu społecznego Stanów Zjednoczonych i odrzucające komunizm jako niebezpieczeństwo zagrażające cywilizacji zachodniej a Stanom Zjednoczonym w szczególności. Ustalono wtedy, że nowa organizacja — której nadano nazwę *Federacji Amerykańców Środkowej i Wschodniej Europejskiego Pochodzenia* — będzie zrzeszeniem tych właśnie naczelnych organizacji reprezentacyjnych, poszczególnych grup narodowościowych. Te grupy, które nie posiadają tego rodzaju organizacji, będą reprezentowane przez poszczególne większe organizacje o krajowym zasięgu. Zjazd waszyngtoński odbył się w nastroju poważnym i szczerym. Wszyscy uczestnicy zdawali sobie sprawę z tego, jak wielkie znaczenie posiadają te organizacje koordynowane wysiłków. W czasie dwudniowych obrad przedyskutowano i ustalono nazwę nowej organizacji („Federation of Americans of Central and Eastern European Descent”), ustalono zasady organizacyjne i powołano Komisję, która ma opracować projekt statutu. Wreszcie zjazd uchwalił jednogłośnie deklarację, która zawiera cele i zadania nowej Federacji:

1) Dokonywać wszelkich wysiłków dla zachowania i popierania amerykańskiego stylu życia.
2) W tym celu nakłaniać nasz Rząd do pracy nad sprawiedliwym i trwałym pokojem, opartym o naszą własną Deklarację Praw i zasady zawarte w Kartie Atlantycznej i Czterech Wolnościach, zasady, za które synowie i córki nasze walczyli i umierali.
3) Przeciwdziałać złowrogim komunistycznym i antydemokratycznym wpływom, wciskającym się do wszystkich grup narodowych wchodzących do niniejszej Federacji. W każdej z nich utwierdziły się komunistyczne i inne organizacje frontu antydemokratycznego. Szerzy się propaganda komunistyczna, co

stanowi zagrożenie bezpieczeństwa, dobrobytu i sposobu życia narodu amerykańskiego.

4) Popierać bezpieczeństwo i dobrobyt Stanów Zjednoczonych przez domaganie się takiej polityki, która przyniesie trwałą pokój wszystkim narodom świata, włącznie z krajami Środkowej i Wschodniej Europy, liczącymi około 150.000.000.

5) Nakłaniać nasz Rząd aby usiłował przywrócić suwerenne prawa i samorząd narodom, które zostały siłą ich pozbawione a zapewnić wykonywanie prawa samostanowienia tym narodom, którym to nie zostało przyznane, zwłaszcza krajom Środkowej i Wschodniej Europy.

6) Nakłonić nasz Rząd, aby spełnił gwarancję wolnych i nieskrępowanych wyborów w tych krajach pod nadzorem komisji międzynarodowej. W celu uzyskania tego i w celu usunięcia poważnego zagrożenia pokoju światowego nieodzownym jest, aby wojska sowieckie i sowiecka tajna policja zostały natychmiast wycofane z neutralnych i sprzymierzonych krajów. Do czego zobowiązuje art. 6 Deklaracji moskiewskiej z roku 1943.

Waszyngton 11 kwietnia 1946 r.

Deklarację podpisali:

Unia Greko-Katolików w Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanadzie (Karpato-rusini) — *Stefan M. Tkacz*; Amerykańska Rada Litewska — *Leonard Simutis*; Kongres Polonii Amerykańskiej — *Karol Rozmarek*; Serbska Federacja Narodowa — *D. C. Christopher*; Liga Słowacka w Ameryce — *Peter D. Jurczak*; Zjednoczenie Chorwackie w Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanadzie — *Jan D. Butković*; Chorwacka Unia Katolicka — *Re. M. C. Hronilović*; Ukraińskie Zjednoczenie Narodowe — *Mikołaj Muraszko*; Towarzystwo Katolików Ukraińskich w Ameryce — *Bohdan Kalamiay*.

PRZEMILCZANA POŁKULA

„Z głębokości wołam ku Tobie Panie — Panie wysłuchaj głosu mego!”
Nie wiem czy wolał kto kiedy z bardziej bezdennej i straszliwej głębokości odkąd świat światem a człowiek człowiekiem.

Wydana niedawno w Rzymie książka Z. Kossak p.t. „W otchłani”*) jest książką straszną. Książką walącą po prostu

*) Z. Kossak: „Z otchłani” — Polski Dom Wydawniczy, Rzym, 1946.

z nóg. Z hezobową, powściągliwą, niemilosierzną prostotą, odartą świadomością ze wszystkich literackich ozdobiaków, ze wszystkich pisarskich efektów — zeznaje. Zeznaje rzeczy potworne. Żadne przetworzone dzieło o Birkenau, choćby wyszło spod tego samego świetnego pióra, nie mogłoby być chyba bardziej porażające od tych zeznań właśnie...

Brzezinki, czyli Birkenau, Kobięcy, koncentracyjny lagier w Oświęcimiu. Jedna z otchłani ponad ludzkie pojęcie skondensowanego zła — na iluś tam kwadratowych morgach niczym niewinnej zemi. Jedną z otchłani ponad ludzkie pojęcie skondensowanej męki niewiadomych dokładnie milionów bezbronych ludzi. Nie wierzę, by najbardziej zwyrodniała wyobraźnia zdolna wytworzyć to, co wymyśliła i przeprowadziła w przeciągu sześciu lat wolna wola i intelekt „hitlerowskiej bestii”. Rozprysnięta w poszczególne, pozornie tylko ludzkie komórki — z których każda działała wedle swojej wolnej woli, wedle wytworzonego i nagromadzonego w sobie okrucieństwa, wedle własnej, zбочzonej, niczym niehamowanej pomysłowości — stworzyła coś, przy czym wszystkie przez ludzkość popełnione grzechy człowieka przeciw człowiekowi wydają się blade i naiwne. „Wyniszczające” lagry niemieckie! Odkąd świat światem nie potrafił nikt na tak małej przestrzeni i w tak krótkim czasie wyprodukować tylu przemyślnych i konsekwentnie „naukowo” przeprowadzonych zbrodni! Trudno wprost pojąć, jak powierzchnia ziemi zniosła ten żrący trucielecki ekstrakt, którym ją nawodniła.

na swej skorupie te upiorne, krwawe, sztucznie zaszczerpione narosła, jakim stały się na niej koncentracyjne obozy. Nigdy już chyba żywa trawa nie ośmieli się zarosnąć tych miejsc!

Nie śmie ich jednak zarosnąć i niepamięć! Bezmyślna, niewyciągająca wniosków, obojętna, czy zdawkowa niepamięć. Jak słusznie pisze autorka we wstępie — nie wolno przejść nad tym do porządku. Nie wolno nikomu, kto sam tego piekła nie przeszedł uchylać się od obowiązku przyjęcia do świadomości tych prawd i nie wolno, aby je przyjął daremnie! Zastaniam się, czy koniecznością oszczędzania nerwów i sił, bo „tyle nam ich dziś potrzeba...” jest błędne. Właśnie dlatego, że nam ich tyle potrzeba. Przeczytanie tej straszliwej książki uświadomi człowiekowi, jak wiele może wytrzymać, jak wiele potwornego zostało mu oszczędzone, i jak olbrzymią część ogólnego długu ludzkości spłacił Bogu swą bohaterką, z heroizmem przyjętą i znoszącą mękę opisywaną tam, polskie męczennice.

„Lagier zamieniony na ołtarz ofiarny, całopalny; dorzucony do męki Syna Bożego wystarczyłby niewątpliwie, aby uratować świat”. (str. 187).

Ogrom wartości ekspiacyjnego cierpienia — to bardzo trudna i bardzo niewygodna sprawa. Dla ludzi wierzących, ale wierzących naprawdę, takich, którzy dobrze wiedzą, że co wierzą — wartość jego jest jasna, bo potwierdzona rozstrzygającym wszelkie wątpliwości, zrozumiałym dla nich i świętym dowodem — Krzyżem. I ci wyszli z lagrów zwycięscy — żywi czy umarli. Oto jedna z zasadniczych prawd, którą z najgłębszą radością podkreśla i mnożym przykładów popiera autorka. Pod koniec książki dochodzi do innego jeszcze stwierdzenia i do innej prawdy tej, którą słabość nasza i świadomość winy odpędza od siebie tak samo, jak pewnie Kain odpędzał wspomnienie Abła. Oto zabicie poczucia Dobra w świecie. Mord, do którego przyczyniało się pokolenie za pokoleniem i człowiek za człowiekiem. I ta straszna — nie na ludzką już, ale na szatańską miarę zakrojona zbrodnia, musi być odrobiona. Ze straszliwego, makabrycznego bagna, jakim był lagier w Birkenau — lagier zbudowany na 50 tysiącach dostojnie przez samych siebie w błoto wdeptanych, głodem zamorzonych jeńców rosyjskich, z bezdennej niewymyślniejszych tak fizycznych, jak moralnych tortur — wyszarpuje autorka triumfalnie sztandar — wyszarpuje palącą konieczności, podnosi go wysoko nad głowę i nawołuje — i krzyczy — i wzywa każdego poszczególnego człowieka, by zrozumiał wreszcie ogrom zbiorowej odpowiedzialności i obowiązku zbiorowego wysiłku ku oczyszczeniu i odrodzeniu się ludzkości przez miłość Boga i bliźniego.

Tym przejmującym krzykiem o odrodzenie zamyka Z. Kossak swoją upiorną książkę — o śmierci. Tym zakończeniem tłumaczy niepojęty dla wielu sens i celowość męki tych, którzy w lagrach zmarli i tych, którzy je przeżyli. „Męka milionów niewinnych istot, muszą wydać ranie, straszliwe agonie, muszą wydać plon, który przebyte cierpienie usprawiedliwi, uczyni aktem celowym i twórczym”. (str. 237) A parę wierszy wyżej: „Losy Oświęcimia i wszystkich podobnych mu mordowni ludzkich należy pamiętać, znać, przemyśleć, zgłębić, pojąć, by wyciągnąć z tej znajomości trzy zasadnicze wnioski:

Uczczenie pamięci męczenników.
Uniemożliwienie powstania kiedykolwiek nowych lagrów.
Ustawienie jedyńskich żywych źródeł siły odporności człowieka.

Dotąd zśliśmy za myślą autorki tak, jak nas prowadziła, od dna oświęcimskiego

go piekła coraz wyżej i wyżej i godził się bez sprzeciwu z jej szlachetnymi wywodami, tak co do konieczności samej walki z człowiekiem, a człowieka jak co do jedynej drogi na której walkę taką można prowadzić i wygrać.

W drugim jednak z trzech wyżej przytoczonych postulatów — coś zgrzytnęło niespodzianym brakiem. Niepodobna pojąć pisarza tej miary co Z. Kossak o nie dość jasne sprzeciwianie swojej myśli. „Uniemożliwienie powstania kiedykolwiek nowych lagrów” — powiedziała. Jak to? I to już wszystko? A co z tymi, które nie zniknęły z powierzchni ziemi, mimo że na „szczęście zeznała z mora podobnych mordowni, jak Majdanek, Buchenwald, Grossen, Dachau i Mathausen”.

Brak w całej książce jakiegokolwiek ogólnikowych nawet nawiązań do innych lagrów na świecie, kład czytelnik z początku na karb świadomego, konstrukcyjnego ograniczania się do mówienia — tylko o niemieckich. W ostatnim jednak rozdziale autorka rozstrząsa niejako zwycięsko ściany ostatniego rzekłabyś na świecie baraku, rozrywa wolne już od prądu elektrycznego druty, wzbija się ponad daty i ponad kraje i z wysoka woła do całej ludzkości o zbrodni, za którą odpowiedzialna jest przed Bogiem i własnym sumieniem nie część — ale cała ludzkość. Jakże się to stało, że nawet z tak wysoka, czując na sobie oczy Najwyższej Sprawiedliwości nie dostrzega całokształtu poruszanej przez siebie sprawy?

Książkę „Z otchłani” pisają Z. Kossak w Polsce, pod okupacją bolszewicka, ale wydała ją teraz i tu, w Rzymie, gdzie

*) Informacje te niestety nie są ścisłe, gdyż w samym Majdaniku władze sowieckie po zajęciu Polski wzięły ponad 2500 członków A.K. Sprawa ta była poruszona w House of the Representatives w Ameryce dnia 1 lutego 1945.

nie było już powodu do pomijania kompletnym milczeniem sprawy sowieckich lagrów. I więcej może! Gdy się już raz, na wolnym świecie sprawę taką z tak wysoką poruszą i nasławiła, ma się obowiązek krzyczeć właśnie na cały wolny świat, że mimo o upadku Niemiec, lagry nie tylko nie zniknęły, ale przeciwnie — pachną i pęczają nowym, ze wszystkich stron świata wciąż dowożonym „paliwem”, które się tam obraca w proch nie w przeciągu kilku kwadransów, ale w beznadziejnej, na lata i lata rozłożonej męce.

Trudno przypuścić aby istniał gdzieś jeszcze Polak, który by o tym nie wiedział. Trudno się zgodzić, aby jedna i ta sama zbrodnia, tym tylko, że przeprowadzana u nas z e j, zyskiwała sobie prawo do odmiennego osądu, czy przemilczania choćby — i to wtedy zwłaszcza, gdy się tamta, pierwszą zbrodnię — sponad czasu przed trybunał sumienia ludzkości. Gdyby ktoś, tylko na podstawie tej książki, chciał sobie stworzyć pojęcie, jak się dzieje na świecie przedawia sprawa lagrów — dzięki zmyleniu obrazu przez to niepojęte przemilczenie właśnie — doszedłby z ulgą do przekonania, że ten potworny wrzód został na szczęście przecięty, wypalony, że ma się dlatego prawo omawiać go już tylko retrospektywnie — a bać się tego jedynie, by się już nigdy nie odnowił.

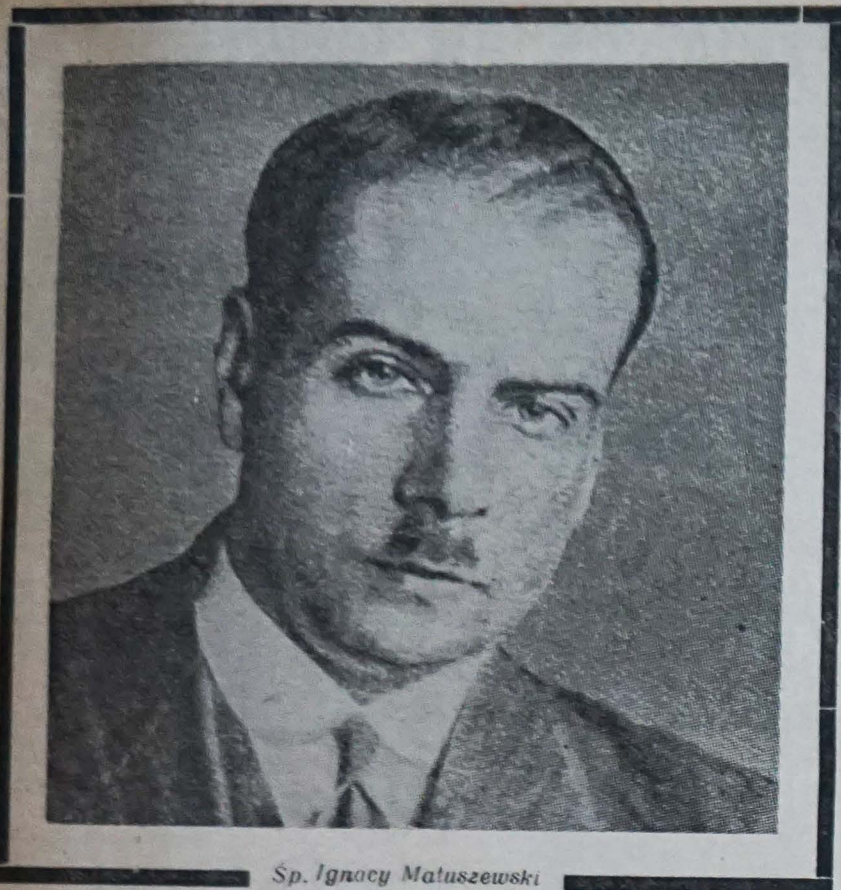
A lagry przecież są! Tyle — że i lagry nie lagry. Nie zniknęły z powierzchni ziemi. Męczą się dziś w nich — Bogu tylko dokładnie wiadome — miliony ludzkich istot, tak, jak się w nich od 30 lat męczyły wciąż nowe, przepływające przez nie miliony. Pomiędzy w tej chwili ten najbardziej nas obchodzący, olbrzymi odsetek zamęczonych już, męczących się jeszcze i wciąż dowożonych tam teraz Polaków. Tak



Masowy grób w lesie katyńskim



Masowy grób w obozie koncentracyjnym w Belzenen



Sp. Ignacy Matuszewski

Działalność publicystyczna Ignacego Matuszewskiego podczas drugiej wojny światowej, prowadzona z początku we Francji, a następnie w ciągu lat sześciu w Stanach Zjednoczonych A.P., zasługuje na odrębne opracowania. Jest ona ze wszech miar godna podziwu, zarówno ze względu na zasięg, jak rozmach i osiągnięcia.

Talent pisarski Ignacego Matuszewskiego zajął w całej pełni, co więcej, osiągnął on formę szczytową. Nikt mu nie potrafił nawet w przybliżeniu dorównać w doborze argumentów, logice rozumowania, piękności wyśłowienia. Każdy jego artykuł to jednocześnie arcydzieło literackie i wyraz najgłębszych przeżyć człowieka, który wierzy i walczy o najświętszą sprawę.

Już pierwsze jego publikacje, ogłoszone w „Słowie” paryskim, zwróciły powszechną uwagę i wywarły, szczególnie w Kraju, ogromne wrażenie. Ignacy Matuszewski analizował w jednej z nich przyczyny słabości Polski i kłęski wrzesniowej, wnikliwie, obiektywnie i głęboko, pierwszy spośród publicystów świątowych dając trafną ocenę niedawno minionych wydarzeń.

Jego artykuł, poświęcony samotnej walce Finlandii z najeżdżcą rosyjskim, dowodził, że dla Ignacego Matuszewskiego prastare polskie zawołanie: „za naszą i waszą wolność” — nie było tylko pięknym frazesem.

Jedną z znakomitszych jego publikacji była „Wola Polski”, ogłoszona w „Wiadomościach Polskich” w Londynie, znana w przekładzie na angielski pod tytułem: „What Poland wants”. Była to, poza nieporównaną formą literacką, pierwsza wojenna publikacja polityczna, unaczynająca nie tylko Polakom, ale i całemu światu odrębność cech narodu polskiego, jego kultury i jego przeznaczeń od wschodniego i zachodniego sąsiada oraz wykazująca ściśle związanie Polski ze wspólnotą zachodnio-europejską.

Na wskroś Europejczyk, jak każdy prawy Polak, Ignacy Matuszewski nie ogranicza się w swoich artykułach wyłącznie do obrony najżywońszych interesów Polski. Patrząc z perspektywy dziejowej na rozgrywające się wydarzenia o zasięgu światowym, śledzi je z wagą i analizuje odważnie ewolucje polityki mocarstw zachodnich, nie szczędząc nieraz gorzkich uwag jej kierownikom. Uważa, że nie wolno mu postępować inaczej jako szczeremu przyjacielowi i członkowi wspólnoty narodów o kulturze i cywilizacji chrześcijańskiej. To postępowanie jego nie zawsze znajduje zrozumienie. Stąd natrafia na różne opory, stając w miarę upływu czasu, wykazującego trafność jego ocen.

Jedną z ostatnich swoich publikacji poświęcił Polskim Siłom Zbrojnym na obczyźnie — „ostatniemu wojsku Europy”, przestrzegając w słowach pełnych bólu przed jego demobilizacją.

Nadeszła nęubłaganie chwila, przewidywana przez Ignacego Matuszewskiego, gdy, wyrażając się słowami Zmarłego, rozpoczął odbierać oręż żołnierzo-wo polskiemu jego brytyjscy towarzysze broni.

Nie przeżył tej chwili Ignacy Matuszewski, choć serce jego było na pozór mocne i zahartowane, choć zniósł ono i najboleśniejszy cios osobisty — śmierć córki, i tyle ciosów ogólnych, zadanych Ojczyźnie.

Dlatego też, gdy powstanie, a powstanie niewątpliwie musi, nowe wojsko polskie — wojsko Europy — pochyli ono z czcią swoje sztandary nad grobem żołnierza Józefa Piłsudskiego, żołnierza wolności, któremu pękło serce, gdy w ska tego nie stało.

BOHDAN PODOSKI

Rzym, w sierpniu 1946 r.

POEZJA WIERZYŃSKIEGO

Zamknij się, zamilcz, jak leśna mogiła,
Którą się u nas napotyka czasem
Śród brzoź i sołniz. Chcę, żebyś tu była
Choć nas nie będzie. Las zostanie lasem.

Zamknij się, nie mów. Niepotrzebne
słowa.
W ziemi się wszystko powoli uleży
I nawet prochy, jak wieść zagrobowa,
Przemówią jeszcze. Zostań dla żołnierzy.

(Kazimierz Wierzyński „Do ksiądzki”)

Wierszem tym kończy się ostatni, wydany w Nowym Jorku zbiór poezji Kazimierza Wierzyńskiego, zatytułowany: „Krzyże i miecze”. Poezja polska tej wojny spełnia swoje powołanie. Była może nawet do przesady poezją walki. Była nią nie tylko pod piórem żołnierza. Cała współczesna poezja polska i w podziemiu Kraju i na wygnaniu, stanęła z podniesionym czołem ku w. rowi czasów. Gdyby można nadać poetom wedle ich zasług dla walki szarże wojskowe, Wierzyński byłby poezją polską generałem. Poezji jego bowiem treścią, ambicją, ideą, granicą i radością jest służba żołnierska, fundamentem ogromny poetycki talent, zasługą zaś najwyższy stopień wnikięcia w duszę walczącego narodu. Wierzyński ze swą adomością tę swą pasję poetycką manifestuje i w niej tylko dostrzega cel i wartość poezji.

Szczęście żołnierza zamyka się w ofierze. Istota bohaterstwa nie jest wyczyn wojskowy ani szalenicza odwaga. Jest nią sw. adomość ofiary, wiara, że w poświę-

ceniu bez nagrody mleć się sens życia, sens przydatno ci człowieka. Leśna mogiła jest pełniejszą symboliką żołnierza, niż order „Virtuti Militari”. Poezja która obrata sobie za ideał miłokę pochylenie



Kazimierz Wierzyński

się ku skroniom, pulsującym grozą walki, może jawić się i jest w oczach proroków wyzwolonego z przydatności piękna co najwyższą leśną mogiłą. Żołnierz jednak powziął swa decyzję właśnie w obliczu leśnych mogił. Poeta powziął ją w obliczu żołnierzy:

Zamknij się, nie mów. Niepotrzebne
słowa.
Zostań dla żołnierzy.

Poezja takiego gatunku i o takich założeniach nie ma potrzeby poszukiwania dalekich tematów i zbytejnego subtelizowania formy. Jej kanonem natomiast jest moc natchnienia, moc oddziaływania, ideał Tyrteusza, porywającego naród do broni. Wierzyński nie tyle tworzy poezję, co poezje zbiera, buduje z tworzywa walki, z patosu bieżących dziejów. Wzrokiem poety dostrzega w chaosie wydarzeń szlachetny kruszec, oczyszcza go z rudy powzedności i ukazuje jako klejnot poezji. Kruszec bieżących wydarzeń widzi Wierzyński po poetycku, dostrzega wartości szlachetne tam, gdzie inni widzą tylko rudę.

Cieniem walki jest zwątpienie. Zły duch rezygnacji unosi się zawsze nad walczącymi. Cień skrzydła ducha rezygnacji padają także dziś tu i ówdzie na obszar dużej polski. Zdarza się styszyć w. pienie w celowość walki i ofary, więcej — szyderstwo nad mogiłami poległych. Naród polski do tej pory dziejów stał walką, wiarą i honorem. Jeżeli Bog Polskę przez tak liczne wieki otacza blaskiem potęgi i chwaly, to właśnie przez jej wierność i wytrwałość. Dziś, gdy wielu poetom polskim wypada broń wiary z dłoni, Wierzyński dźmierzy jej sztandar

„Krzyże i miecze” są tym sztandarem, wyznaniem wiary w „Biblię polską”. Książka ta zostanie dla żołnierzy.

JAN BIELATOWICZ

„MŁODE POKOLENIE CHŁOPÓW”

Dla wielu, którzy uważnie i z dobrą wolą przeczytają „Młode pokolenie chłopów” (Chłasińskiego), książka ta będzie odkryciem faktu, drżającego w nas podświadomie. Jesteśmy bowiem w wielu wypadkach spadkobiercami kultury szlacheckiej, a w szczególności jej postawy wobec chłopca. Jakkolwiek minęły czasy, kiedy twierdzono, że „chłop i pan są z całkiem innej gliny ulepieni” — świadoma lub nieświadoma postawa psychiczna w pewnej mierze pozostała. Dołączyła się do tego stylizacja literacka w rodzaju „Chłopów” Reymonta lub przetrzagiczowania Zeromskiego. Na tych literackich postawach wytworzył sobie przeciw ogół inteligencji obraz chłopca, mimo coraz częściej pojawiających się dzieł pisanych przez chłopów o sobie.

Otóż młode pokolenie chłopów w jak najsilniejszy sposób wykazuje bezpodstawność tej odrębności, sięgającej barzdzo głęboko w pojęciu inteligenta. „Tędo pierwszy zawód — pisze Chłasiński — jaki spotyka czytelnika życiorysów młodzięży chłopskiej — to niemożność odnalezienia w nich owej, tajemniczej „psychiki chłopca”.

W pamiętkach wypowiadają się ludzie, znajdujący się w specyficznych warunkach. Jako żywy i autentyczny dokument przeżyć dziecka, młodzieńca lub dziewczyny wiejskiej — są pamiętniki te pasjonującym obrazem wszechstronności i głębi. Życiorysy te „odkrywają po prostu człowieka, który w swoich zasadniczych elementarnych dążeniach wszędzie jest jednakowy: szuka towarzystwa innych ludzi, zakłada rodzinę, chce się utrzymać przy życiu, chce być szczęśliwym”.

Józef Chłasiński: „Młode pokolenie Chłopskiej w Polsce”. Tom I. Skrótu dokonał Gustaw Herling-Grudziński. Przedmowa Juliusza Piatowskiego. Wydawnictwo Polskiej YMCA przy ul. W. Rzym 1946.

wym”. Wobec tych zasadniczych ludzkich dążeń każdy z nas stara się rozwiązać pewne problemy, a przynajmniej zrozumieć je.

Na naszą reakcję podczas czytania: „Co ma do napisania... 20 letni chłopak wiejski, który w szóstym roku życia zaczął paść krowy, w czternastym opuścił szkołę a pozostałe sześć lat spędził w swojej wsi — w kole młodzieży” — albo: „Jakaż historię może mieć dziewczyna, co ze wsi wdrędo do miasta na służbę i najlepsze lata swego życia spędza w kuchni, niezauważona jako człowiek, zostawiona samej sobie?” — znajdujemy odpowiedź.

Młodzięży chłopska staje wobec problemów, które nie tylko musi rozwiązać, gdyż od tego zależy jej byt na ziemi i poczucie jako człowieka, ale musi je rozwiązać bardziej zdecydowanie i wcześniej niż dziecko inteligentki. Dziecko nie jest dzieckiem inteligentki. Dziecko chłopskie — jeżeli będziemy mierzyć dojrzałość rozwiązywaniem problemu znalezienia swego miejsca i drogi w życiu — jest wcześniej dojrzałe od dziecka inteligentki, jest poza tym dojrzałe wszechstronnie. Dziecko chłopskie musi bowiem własną pracą swoje istnienie na ziemi uzasadnić od lat najwcześniejszych. W ramach wspólnych obowiązków rodziny i społeczności wiejskiej musi dodać swój własny wkład pracy, i dlatego dziecko chłopskie już wcześniej uzyskuje fizyczne — i co najważniejsze poprzez zrozumienie wartości pracy innych — uzyskuje dojrzałość społeczną.

Nie dokonywa się to dojrzwanie ani automatycznie ani spokojnie. Pięknym przywilejem młodości jest ta „nadwrażliwość” na zjawiska świata otaczającego i poszukiwanie rozwiązań bezkompromisowych w stosunku do siebie i otoczenia. Te „szlachetną chorobę” przechodzi cała młodzieź, ale młodzieź chłopca w

Polskę przechodzi ją w sposób specjalny. Młodzięży inteligentka w problematycie bezkompromisowości nie jest zmuszona koniecznie stać w sprzeczności z otaczającą ją społecznością środowiskiem; toteż także często owe sprzeczności, raczej literackiej natury — nie są związane z życiem rzeczywistym. Dziecko chłopskie natomiast, zaczynając stawiać sobie problemy, musiało i jeszcze napewno długo będzie zmuszone znaleźć się naprawdę w zasadniczej sprzeczności z otoczeniem. Musi bowiem rozwiązać otaczający świat wizerzeń, przesądów i poglądów reprezentowanych zarówno przez rodzinę i społeczeństwo, jak przez ambone i instytucje państwowe. Jakże więc często młodzieź wiejska iść musi całkowicie samotnie, łamać się z problemami, na które młodzieź inteligentka szybko może znaleźć odpowiedź.

Do głębi poruszający jest zapał i nieczym nie powstrzymane pragnienie nauki i wiedzy. Dziecko chłopskie znajduje czasem przyjaciela lub ksiązkę, coraz częściej znajduje odpowiedni otoczenie w Kole Młodzieży, Uniwersytecie Ludowym lub w Szkole Rolniczej. Droga ta nie odbywa się jednak w abstrakcji. Nawet najmocniej przeciwstawiając się otoczeniu, nie odrywa się bowiem młody chłop ani od otoczenia ani od ziemi. Obie te fazy przeżył młodzieź są określanymi „bunt młodzięży”. Jak to określanie w środowiskach inteligentów przebiegało, bunt młodzięży inteligentki. Podczas całego okresu walki dzieckiem chłopskie nie traci jednak gruntu pod nogami. W najcięższych chwilach, podczas których budziły się najgorętsze pragnienia odejścia od ziemi — dziecko chłopskie wykonywało swą zwykłą pracę codzienną, żyjąc w odwiecznym złączeniu z ziemią. I dlatego po odbyciu drogi od strzchy do Uniwersytetu Ludowego, wraca, wzbogacony przeżyciami znowu do ziemi, z tą samą miłokę, ale z o

do końca wypełniając obowiązek, została przez nich rozstrzelana za „zbrodnię” okazania pomocy „ludom wyklętym spod prawa”.

Ojcowi i pradziadowi Krzyżowi Wirtuti Militari nie na darmo zdobył jej po kolik dziewczęcy.

Ignacy Matuszewski, jak każdy zroszła wybitniejszy Polak z jego pokolenia zaprawiał się z wczasu, bo jeszcze w murach gimnazjalnych, do walki o prawa narodu Polskiego.

Na szerszą widownię polityczną wystąpił jednak dopiero podczas pierwszej rewolucji rosyjskiej w 1917 roku. Jako oficer zaborczej armii rosyjskiej był współorganizatorem ogólnego Zjazdu Wojskowych Polaków w Petersburgu i inicjatorem wyboru Józefa Piłsudskiego na honorowego prezesa tego zjazdu.

W kilka miesięcy potem zastąpił jako dowódca nielicznej garskiej młodzieży powiatowej, która zdobyła Mińsk litewski na bolszewickich w imieniu powstającej Armii Polskiej w Rosji. Przyjęty do I Korpusu Wschodniego gen. Dowbor - Musnickiego, należy do tych, którzy usilowali do końca walczyć orężnie z Niemcami i nie składać broni bez walki.

Po demobilizacji I Korpusu Wschodniego, kieruje oddziałem wywiadowczym Komendy Naczelnej Polskiej Organizacji Wojskowej na Rosję, Ukrainę i Białoruś.

W końcu 1918 roku wraca do Kraju i zajmuje podczas wojny polsko-rosyjskiej szereg wyższych stanowisk w Naczelnym Dowództwie M.S. Wojsk. i w Sztabie Głównym, biorąc udział w ostatnim stadium tej wojny w rokowaniach pokojowych w Ryzdzie jako polski rzeczoznawca wojskowy.

Bogata natura Ignacego Matuszewskiego, szeroka skala jego zainteresowań, a może po prostu samo tylko życie sprawiło, że w okresie pomiędzy dwoma wojnami narzuconymi Polsce, nie ograniczył się on do jednej wyjątkowej dziedziiny pracy publicznej.

W 1926 roku Ignacy Matuszewski kończy swoją karierę wojskową jako pułkownik dyplomowany i attaché wojskowy przy poselstwie polskim w Rzymie, ude-

korowany Krzyżem Wirtuti Militari, czterokrotnym Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Przechodzi do służby dyplomatycznej, którą porzuca w 1929 r., obejmując stanowisko Ministra Skarbu. W roku 1931 ustępuje z Rządu i poświęca się w całości publicystyce.

Odtąd pasjonują go przede wszystkim zagadnienia gospodarcze. Znajdując się pod silnym urokiem klasycznej szkoły liberalnej i jej wyznawców krakowskich, bronij wytrwale i uparcie tez wysoce niepopularnych. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że tezy te nie znajdują oddźwięku nawet w jego własnym obozie. To go jednak nie zraża i nie odstrasza. Jesi w tej jego walce prowadzonej w pojedynkę o wytyczne polskiej polityki gospodarczej, jakby odcień heroizmu. Ignacy Matuszewski umiał iść pod prąd i nie stać go było na sprzeniewierzenie się własnym przekonaniom.

W roku 1936 opuszcza „Gazetę Polską”, której był współzałożycielem, współredaktorem i czołowym publicystą. Wkrótce potem obejmuje stanowisko prezesa Towarzystwa Kredytowego m.st. Warszawy.

Odsuwając się od czynnej polityki, nie przestaje nadal interesować się żywo zagadnieniami politycznymi i gospodarczymi, oraz życiem młodzieży, z którą jest stałe w kontakcie.

Początek drugiej wojny światowej nie wytrąca Matuszewskiego z duchowej równowagi. Podejmuje się on z własnej inicjatywy wywiezienia złota Banku Polskiego do Polski na Zachód przez Rumunię i Białą Wschód. Jego inicjatywa, energia i przedsiębiorczość zostają uwiecznione pomyślnym wynikiem. Złoto Banku Polskiego, wywiezione z Polski przez Ignacego Matuszewskiego, znalazło się poza zasięgiem władzy nieprzyjaciela.

Po przybyciu do Paryża, zgłasza się Matuszewski do Armii Polskiej we Francji, do której — przyjęty nie zostaje. Ignacy Matuszewski poświęca się wówczas bez reszty pracy publicystycznej i politycznej w służbie Sprawy polskiej, która odtąd prowadzi nieprzerwanie aż do ostatniej chwili życia, borykając się pod koniec z trudnościami natury materialnej.



S. Westwalewicz: Starorzymka statua Augusta na via dell' Impero

ADDIO ITALIA!

Właściwie można zacząć artykuł frazesem: „wszystko ma swój koniec”. Bo oto kończy się nasz pobyt na terenie Włoch. Rozumowanie nie byłoby pozbawione logiki, gdyby rzeczywiście tak było, gdybyśmy wyjeżdżali raz na zawsze, nie pozostawiając nic i bez zamiaru powrotu. Nie myślę — powrotu w charakterze oswobodzicieli. Bardzo to nie-wdzięczna dziś funkcja. Lecz — powrotu w celu odwiedzenia tego kraju, a jeśli to będzie niemożliwe w sensie fizycznego pokonania przestrzeni, powrotu myślowo, myślowo tęskną wspomnieniem lazururowego — tak lazururowego, to żaden frazes — morza, błękitnego bo takie naprawdę jest, niebia, złocistego wina i — jakkolwiek nie wypada o tym pisać w „Ochotnicze”, lecz jako mężczyzna, a w każdym razie osobnik płci odmiennej, zazwyczaj: — pięknych kobiet.

I każ tu osobnikowi pięci odmiennej pisać artykuł poezjalny o Włoszech! Z miejsca o Włoszkach zaczyna! Uwaga słuszną, bo wszak i Włosię półwysp Apeniński zamieszkuje. I wspólnie tworzą społeczeństwo, z którym żyliśmy się. Odrzuć, bez wstępów i serdecznie. Bo oni i my stanowimy jedną rodzinę — Europejczyków.

Nie wiem, ile jest w tym prawdy, sam tego nie czytałem, ale opowiadali mi koledzy, jako autentyczne zdarzenie: oto pewien oficer stwierdził po przybyciu do

Włoch... zupełny brak tubylców. Kawał, nie kawał, ale w odpowiedniej rubryce meldunku sytuacyjnego wpisał z zimną krwią: „Tubylców nie stwierdzono”. Śmialiśmy się zdrowo, lecz po zastanowieniu doszliśmy do przekonania, że utczył to nie dlatego, iż był mało *inteligentny*, lecz, że po trzech latach pobytu na Środkowym Wschodzie zasugerował się tamtejszym znaczeniem słowa *tubylec*. Stąd ów paradoks o braku tubylców we Włoszech. Gdyż tu istotnie nie ma *tubylców*, są tu Włosi, Europejczycy, jak i my.

Uderzającą jest rzeczą, jak szybko oni właśnie, Włosi, uświadomili sobie, iż obcując z nami, obcują z Europejczykami. Wystarczyło zwykle kilka dni pobytu, by się co do tego porozumieć. Utrzęli nas, w większej stosunkowo od innych wojsk alianckich masie, w kościele, na koncercie, na wystawie sztuki. Nie wprowadziliśmy na teren Włoch pierwiastków obcych. Przyszliśmy, jak do siebie i czuliśmy się, jak u siebie.

Nie wszędzie i nie zawsze tak szybko udawało się nam porozumienie. Wroga propagandą szła przed nami i niejednokrotnie dopiero nabożeństwo połowe przekonywało uprzedzoną ludność, iż jesteśmy chrześcijanami. To był pierwszy z reguły promień słońca topiący lody uprzedzenia. A później odkrywano w nas więcej cech wspólnych, póki nie przekonano się, że jesteśmy ludźmi Europy, a nie

torką utworów fortepianowych powszech. nie (universalesms znanych (La prere d'une vierge etc)”. Widać z tego, że autorka nie była, jak można by oczekiwać, starą panną, zmarła bowiem licząc lat za ledwie 24 i zapewne nie dożyła ogromnego rozpowszechnienia się jej dzieła. Nosi ono lezbę opus — 4, a więc jest czwartą wydaną drukiem kompozycją autorki.

Popularność to nie wielkość. Bezpłatny utwór naszej rodaczki jest jednym więcej tego dowodem. Jeżeli piszemy tu o nim z racji jego odkrycia na obczyźnie, to bynajmniej nie w przekonaniu, że postuluje to może do podniesienia naszych uczuć patriotycznych. Jest to co najwyżej niewątpliwie ciekawość, choć skromny przyczynek do często podejmowanej dyskusji na temat twórczej nieproduktywności kobiet w muzyce. Okazuje się, że jednym z najpopularniejszych — jeśli nawet nie najpopularniejszych — utworów muzycznych stał się utwór kobiety i to — stwierdzamy to bez cienia szowinizmu — kobiety Polki.

HENRYK SWOLKIEN

stepu, jak owa perfidna, właśnie na stepach azjatyckich zrodzona propaganda usiłowała twierdzić.

Od odkrycia wspólnoty kultury do zdzierżnięcia wężów szczerzej przyjaźni był krok tylko. Było to właściwie odświeżenie tradycyjnej przyjaźni, mającej swe początki w czasach, gdy na uniwersytety włoskie przybywali studenci polscy — choćby wspomnieć takie nazwiska, jak poeta liryczny Janicki, czy ów, który słońce wstrzymał Kopernik — przyjaźni, kontynuowanej przez wieki, obejmującej przez Bonę Sforza tron królewski i zstępującej w szeregi ludu, który wydał bezmiennych bohaterów, Polaków poległych pod sztandarami Garibaldi i Włochów, którzy nam w powstaniu styczniowym na pomoc pośpieszyli i grób na ziemi polskiej znaleźli. Nie miejsce tu na wyliczanie nazwisk i dat. Nie jest ważne zresztą, ile tablic pamiątkowych, świadczących o wymianie kulturalnej i droższej od niej wymianie krwi, znaleźmy możemy tu i w Polsce. Po stokroć ważniejsze są znaki wyryte w sercach naszych i w sercach tych, z których gościny korzystaliśmy.

Oczywiście, jak to zwykle bywa, bezpośrednie zetknięcie przynosi pewne rozczarowanie. Wpływa na to również różnica charakterów. Wychowani w twardej szkole życia, w nieustannych walkach o odzyskanie wolności (czy wiele jest narodów, zdających sobie sprawę ze znaczenia tych słów?), wiecznie zakasujący rękawy do odbudowy spalonej sadyby, nie zawsze rozumiemy sens słowa *patientia*. Brak nam zresztą stale owej *patientia*. Miałem nieć cieszymy się przysłówowym słomianym zapalem. Włosie są też do niego skłonni. Lecz nie brak im cierpliwości. Na tym może polegać owa różnica charakteru, powodująca pewne nieporozumienie.

Wiele drobnych przywar — związanych czy to z klimatem, czy z przeszłością historyczną — nie podoba się nam u Włochów. Razem nas na przykład ospałość podludniowców, przysłówowe *dolce far niente*, czego jednak nie spotyka się na północy, lub lekceważenie pewnych, ułatwiających współpracę norm jakie zwolennicy przesadnej „wolności” skłonni są nazywać przepisami policyjnymi. Są to przywary, bezsprzecznie, lecz zapamiętajmy, czy my... Poważniejsza doza samokrytyki, a okaże się... Tym, którzy widać tylko przywary, radzę zrobić mały rachunek sumienia. Przede wszystkim tym, którym ta wojna pozwoliła ujrzeć więcej świata, niżby mieli ku temu sposobność w rodzimych Kopyczyńcach. I tym, którzy tu we Włoszech, poza ogólnymi i ulicznym potykaczem ognia, żadnym rozrywkiem nie zaznali.

Może niepotrzebne wspominać o tym, bo w gruncie rzeczy mało jest zawodowych krytyków. Lecz, że to artykuł w „Ochotnicze”, a panie mają swoje, bliżej mi nieznane powody do krytykowania pewnej, prawdopodobnie tej liczniejszej części społeczeństwa włoskiego, więc ze względu profilaktycznych...

W czasie dwuletniego przeszo pobytu we Włoszech poznałem wielu ludzi. Rozmawiałem z nimi szczerze i oni nie byli skryci wobec mnie. Dlatego miałem możliwość usłyszeć czasem cierpki a słuszne — jak bardzo słuszne — uwagi o nas. Nie było mi przyjemnie. Jakkolwiek wiedziałem, jak wielkimi ci ludzie byli nam przyjacielami. Bo gorzka prawda, choćby z ust przyjaciela zasłyszana, jest — gotzka.

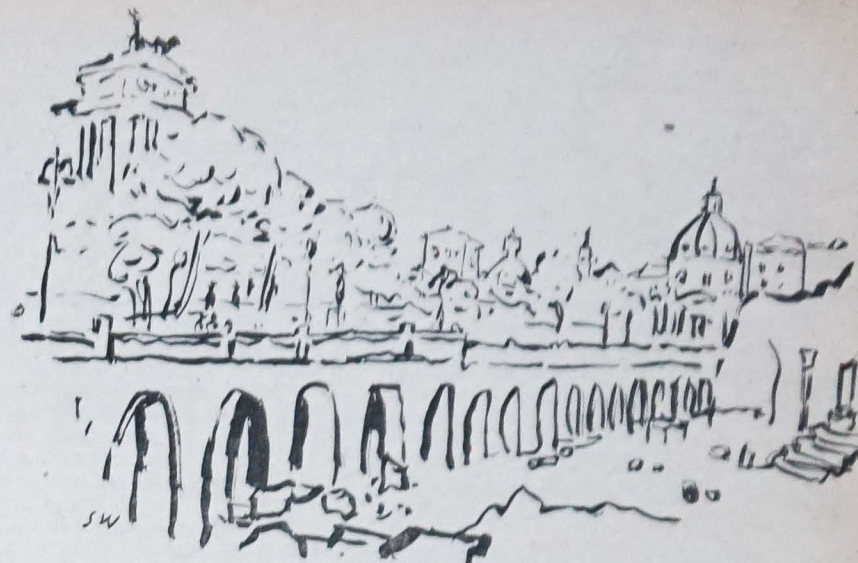
Dlatego, wyjeżdżając z tego kraju, nie pozwolimy ograniczać naszych wspomnień do przywar ludzi, którzy nas przyjęli serdecznie i po przyjacielsku, tak jak na to zasługiwaliśmy, a często nawet *chociaż* nie zasługiwaliśmy. Różnie to na wojnie bywało.

Żyliśmy się z tym krajem, żyliśmy się z ludźmi. Wiele ich trosk stało się naszymi troskami, wiele ich radości dało radość nam. Staliśmy się cząstką ich społeczeństwa.

Czymże możemy się im odwdziżyć, my ludzie bezdomni, rzucony na tułaczkę? Tylko sercem i dobrym słowem. Bo na więcej nas nie stać. Nikt z nas nie we, na który kraniec świata rzuci nas los. Wiemy tylko jedno, że gdziekolwiek się znajdziemy, będziemy służyli naszej sprawie, zależnie od możliwości, jedni słowem, inni pracą. Wszak mamy być ambasadorami naszej Ojczyzny, tak jak postanowiliśmy. I dobrze będzie, jeśli w tym postanowieniu wytrwamy. Komu więc się starczy, by być ambasadorem swego kraju, niech nie zapomina, iż stanowi częścią społeczeństwa europejskiej, którą nauczył się cenić tu, we Włoszech. Niechaj więc wspomnienie tego kraju i tych ludzi doda sił i ochoty do pozyskania przyjaźni i dla Polski i dla Włoch. Mówiąc zaś o Włoszech, nie ograniczajmy się do dzieł sztuki, niebia, morza, wina i kobiet, lecz podkreślajmy przede wszystkim zalety włoskiego narodu, który ma chętną do pracy, zdrową moralnie i kraj swój szczerze miłującą młodzież. Z jej szeregow wyjdą świetli ludzie, którzy poprowadzą swe społeczeństwo ku lepszemu jutru. Mówmy, iż naród włoski jest głębokobok, jak i my przywiązany do wolności i że jej szuka w ustroju demokratycznym. Będzie to najpiękniejszą odwdzięką, na jaką nas stać i do jakiej czujemy się zobowiązani.

Addio Italia! Piękny kraj, piękni ludzie! Europejczyku! To właśnie od was przyszła do nas znajomość Pisma, tego, jakie się wyraża w łacińskim alfabetcie i tego, które głosi prawdy święte. Prawdę o Bogu i prawdę o człowieku. O jego prawach, o wolności, jaką wraz z życiodajnym tlenem oddychać winien i jakiej mu gwałcie nie wolno. Przejaliśmy te prawdy, nauczyliśmy się ich, jak uczniowie pilni i pojętni. I dlatego czuliśmy się na tej ziemi tak bardzo swojsko, jak u siebie. Odnależliśmy tu to, czego nam brakło przez lata wędrówki po spętanych lodem tundrach i oszalalych słońcem pustyniach. Na tej ziemi nie mroził nas lód, nie zabijało słońce. Bo klimat tu polski, klimat europejski. Zyciodajny.

I właśnie dlatego nasz pobyt tu nie kończy się w dniu odpytniecia z pięknej zatoki neapolitańskiej okretu, który ma nas zawieźć w nieznane. I może dlatego napisałem: *Addio Italia!* *Addio* ma podnieśliśmy do niego, używa się go, gdy się odjeżdża bezpowrotnie, lecz używają go również kochankowie, którzy się mają ostatecznie zobaczyć. Ja chciałbym wyrazić to ostatnie życzenie. Po pierwsze mam zamiar powrócić. Może nie fizycznie, lecz na pewno myślą. Wspominałem tak silnym i zewnym, jak wspomnie-



S. Westwalewicz: Ruiny na zbiegu via dell' Impero i via Cavour

nie kochanków. Po drugie — że sam fakt fizycznego oddalenia się od włoskiej ziemi nie oznacza zerwania wszelkich węzłów, łączących mnie z nią. Jestem przekonany, że w ten sposób myśl i czynie każda i każdy z nas. Bo właśnie tu, na ziemi włoskiej odnaleźliśmy siebie po la-

tach tułaczki i nie jest możliwe, byśmy tu nie pozostawili na zawsze cząstki naszej duszy.

Dlatego żegnamy Italię, jak kochankowę, która się jeszcze zobaczy:

Addio Italia!

K. ZAMORSKI

W ANGLII — MOW TYLKO O POGODZIE

Globus był nieduży, miał lśniącą, błękitną tynkę i czarną, zielonym suk-nem podklejoną podstawkę. Głównym jego urokiem było jednak to, że nam został dany jako zabawka pod drzewkiem, więc nie kojarzył się z lekcjami, nie stał na żadnej wysokości półce, nie drożył się, nie wynosił — przeciwnie — z głową jakby lekko na bok przechyloną — usłużny, cierpliwy i wyczekujący — gotów był każdej chwili zacząć się kręcić wokół własnej osi, byle go trącić raz, drugi i trzeci... A wtedy — dołem przelatywała Australia, potem cienka w pasie Ameryka, potem gładki płat Afryki, pod śmieśnię malutką, postrzępioną Europą, zwałista, wypamiłasypana Azja i znowu Australia, znowu Ameryka, znowu Afryka... Szare plamy kołujących ławd zlewały się w jedną miazgę, nad którą trwała niewzruszenie mosiężna mura wkręcona w północny bieg.

Rewelacja, że ziemia kręci się tak samo jak globus, wpadła mi w życie dość wcześnie, ale też również wcześniej wybito mi z głowy najprostszy sposób podróżowania, który narzucał mi się sam z siebie, na widok tej wirującej tynki. Uważałem, że dość mi będzie podskoczyć, aby się ziemia przez ten czas przetoczyła pod moją kawałek — znów podskoczyle — poczekaj — aż się znów obróci i powtarzając ten manewr kilkanaście razy z rzędu, zmanewrować się do „gdzie indziej”. Po-leżeć się wreszcie — gdzie indziej? I nie wiem czemu mi tak powiedzieli! Przecież do siedmiu lat nie innego nie robimy, tylko nigdzie nie „jadać” — jesteśmy ciągle „gdzie indziej”. Była je- steśmy ciągle — gdzie indziej! Była je- steśmy prawie po tę mosiężną murę Azja — prawie po tę mosiężną murę na cieniem — była już Afryka — razem z Przylądkiem Dobrej Jeszcze wtedy Nadziej — jedni doskoczyli tak do Australii, do Nowej Zelandii, czy na- wet Ameryki — no a teraz ma pod nas podjechać mglista, kwaskowata gościna- Waśpa.

Jaka jest Anglia? Nie wiem. Nie umiem tego powiedzieć. Wydaje mi się

jednak, że wszystko zależy od tego, jaką ją zechcemy zobaczyć. Mglista i zimna — może... Łagodna i zielona — chyba... Piękna, ciekawa, swoja własna — napewno. Nieprzystępna, obca, wyniosła — bezsprzecznie. Anglia jest — każda i taka, i taka i taka...

Tym, co każdego kto stąd przyjedzie uderzy przede wszystkim, to będzie zia-godzony blask Słońca, niebia i w ogóle... Nie ma zjadliwie kojących rozprysków światła na murach — a nie ma ich nie tylko dlatego, że mury są ciemne, tynki mroczne, dachy wiśniowe, że pełno zacieków przy rynkach a smug sady pod grzyskami — ale dlatego właśnie, że tego słońca tyle tam, co nie... Człowiek otwiera szerzej oczy i patrzy... Nim się dopatry jakiegokolwiek piękności, czuje przede wszystkim ulgę. Fizyczną ulgę. Ciemno-zielone skwery co dwa kroki, co dwa kroki, w samym sercu obrzyńskiego miasta, obrzymskie, stare drzewa. Historia rola sobie — one sobie. Cała historia Anglii kołysze się w ich wspaniałych, rozłożystych gałęziach, ta bezpieczna, „wypadowa” historia, bro-niaca swego kraju, jak czworoboku bogo- tego laboru, do którego nikt od wieków nie nie przedart. No tak — pewnie. Był „Blitz”, a potem latające bomby. To nawet drzewom nie było przyjemne. Widziałam w Kensington Parku kilka takich — do białej kości rozwalo- nych — obrzymów. Zginęły, nie mając nawet czasu zdziwić się, czy obrzyły. Ale reszta ocalała i jest i szumi, zieleni — czy złoci — czubata, cienista, ezczo- na, strzeżona... Od tych to właśnie drzew pierwszy raz, po trzyletniej we- drówce po Azji i Afryce, zapachniało mi wreszcie — Europą. Młwy, znajomy przydech jesiennych liści... Prawdzi- wych, opadłych, szeleszczących liści... Tego nie zapomina się łatwo.

O ludziach trudno mówić niż o drzewach. Jedno pewne: społeczeństwo jest tam — mimo ogromnych różnic w sposobie życia — najdoskonalej jednolite, subordynowana masa, jaka chyba znał świat. Trzeba ich było widzieć w



S. Westwalewicz: Widok z Kapitolu na Ław Septimusa Sewera i więzienie Mameriufkie

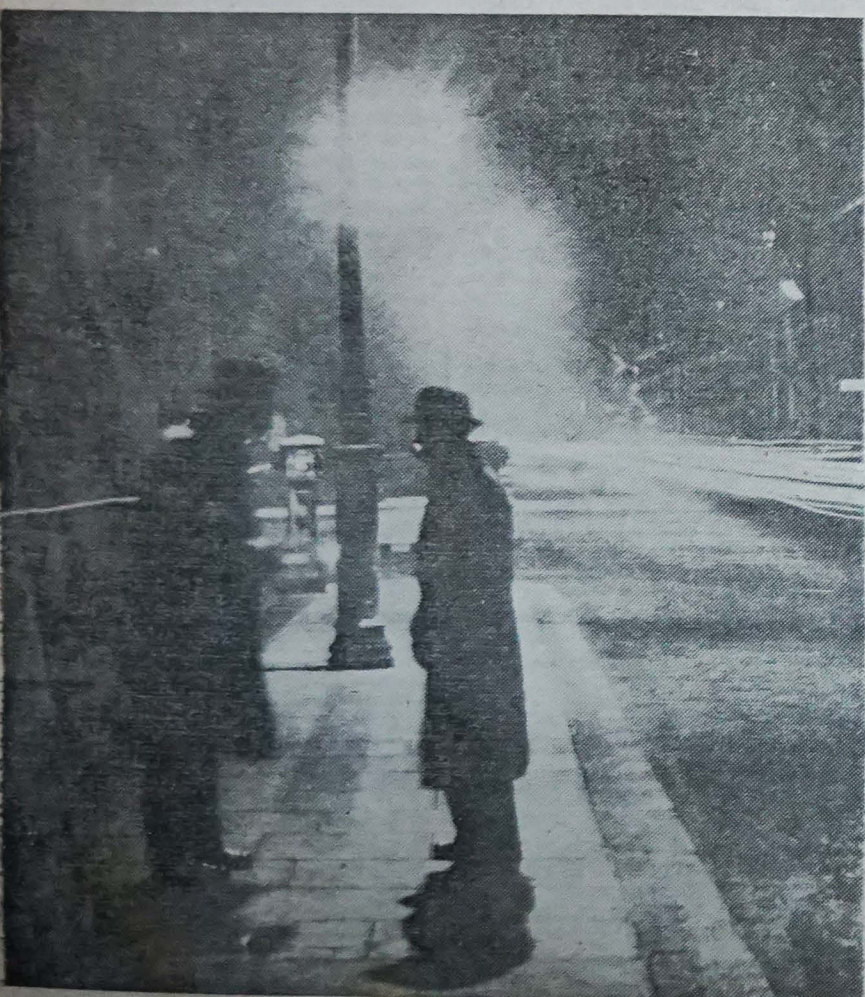
czasie nalotów! To było naprawdę im-
pomniące. Gorą — niczym złowrogie
szerszenie — mrucały uskrzydłone, ni-
sterowskie bomby — dołem, jak gdyby
nigdy nie — życie miasta płynęło sobie
swym torem. Na ulicach tłumi. Po
parkach nurce'y z dziećmi, artretyz-
mem pokłone damy na wózekku,
czule pary... Urzędy czynne, sklepy —
mimo dyki w wystawowych oknach —
otwarte, autobusy, taksówki, mleczarz
z konikiem... Bo rząd także wydał pole-
cenie. (Polecenie oczywiście — nie roz-
kaz!) O bombach mowao się jako o
czymś w najwyższym stopniu nieakt-
ownym, więc raczej z niesmakiem niż
strachem. Czasem nawet z humorem:
sklepiarz, któremu podmuch wywalił
szaloną, na wywieszce „otwarte” dopisał
tylko „bardziej niż zwykle otwarte” i
w swoim kłopotowym fartuchu stał dalej
za ladą, uprzejmy jak jego dziad, pra-
dziad i pradziad...

Bo taka już moda w Anglii. Uprzej-
mość obowiązuje tam przede wszystkim.
I to każdego, na każdym szczeblu so-
cjalnej drabiny. Chłodna, zdawkowa,
ale niezawodna. Może być, że poza gra-
nami swego kraju Anglicy bywają szorst-
cy i wyniośli. U siebie nigdy. Każdy za-
pytany o drogę przechodzeni odpowie ci
przepraszająco i choćby się spieszył, go-
tów jest zawrócić aby ci najdokładniej
pokażąc kądś... Do okienka w urzędzie
możesz się zbliżyć bez ochronnego
wtulania szyi w ramiona, bo wiesz, że
nikt na ciebie nie warknie, jak zły pies
na przybłęde. W sklepach, w pociągu,
na spacerze to samo... Anglik nigdy
wprawdzie nie ustąpi kobiecie siedzące-
go miejsca w „busie”, ale ją zawsze przy
wysiadaniu przepuści przodem. Pechać
się, popychać — never! Wszystko zrobi
siam powolutku i grzecznie. I we właści-
wym kierunku, tak, jak napisane na
tablicy. Bo tam wszystko jest wypisane
i to klorami w dodatku. Są strzałki.

znaki, kółka, zakrzytasy. Tu wejście,
tam wyjście. Anglik rozchorowałby się,
gdyby zrobił inaczej. Może nierazw-
nie wie dlaczego mu każa to czy tamto, ale
ponieważ jest pewny, że ktoś tu za
niego myślał, nie myśli już tylko stu-
cha tablicy. Choćby nikt inny nie czekał
na autobus, Anglik zawsze od właści-
wego końca wejścia między dwa długie,
ku wylotowi wiodące drążki i dopiero
tak — przepisowo — wsiadzie do niklem
i szkłem wytłuszczonego welerioba, któ-
ry po granatowym asfalcie podplynie
bezszeptnie pod przystanek. Smukła
w swym świetnie skrojonym uniformie,
wyodulowana konduktorka zamast-
nie, kto jeszcze nie ma biletu, pstry-
ka szczykami i mówi z uśmiechem:
„dziękuję”. Z góry dziękuje za te „pe-
ny”, które dopiero za chwilę wpadną jej
do torby. To drobniąg, ale bardzo cha-
rakteryzyczny drobniąg... Ludzie tam
w ogóle maja do siebie zaufanie. Nikt
nikogo z góry o zła wolę nie posadza.
Każdy każdemu wierzy. Mleczarz sta-
wia flaszki z mlekiem pod drzewami i
odjeżdża. Rano każdy przód bieje od
tych flaszek. Kwiaty na skwerze są
równie bezpieczne, jak w sklepie za
szybą. Ozdobne krzewy zwisając z pry-
watnych ogródków nad chodnik, dokwi-
tają niekiedy chyba je ktoś, prze-
chodząc trąci kapeluszem. Wczesna
wiosna wszystkie trawniki jeża się
od krokusów. Nie ma przy nich żadne-
go strażnika, nie ma nawet tablicy.
Tysiące krzeseł i leżaków nocuje sobie
po parkach i nie im tam — proz desz-
czu oczywiście — nie zagraża. Publicz-
ne dobro jest pod opieką samej publicz-
ności. Takim już tam obyczaj. Nawet psy
o tym wiedzą. Widziałam raz w parku,
jak dwa młode psaki; bawiły się w ta-
pankę. Jak dzieci dokoła stołu. A stołem
był mały kłombik kruchych, wysmu-
kłych tulipanów. Nawet w szczenięcym
rozbawieniu żadnemu z psów na myśli

nie przyszło, by skrócić sobie drogę na
przełaj, przez kwiaty. W Anglii kot
nigdy nie ucieka przed psem. Pó co?
Pies sobie — kot sobie. Otoż to właśnie:
każdy sobie! Ludzie też. Siedząc obok
siebie na tej samej ławce, patrząc na te
same drzewa, kwiaty i przechodniów —
każdy jest po jakimś sam — w tym
parku. Sparaliżowana dama, czuła pa-
ra, nurce, starszy pan... I choć każde z
nich jest inne, wszyscy pod pewnym
względem są tacy sami: — żadni. Ni
tacy ni tacy. Nikomu nie wolno tam
zrobić nie takiego, co by zakłopotajo
kogokolwiek koniecznością zbroienia o
nim uwagi, refleksji, spostrzeżenia.
Masz być taki sam, jak oni wszyscy:
poprawny. Jakim tam jesteś naprawdę
— to nikogo nie obchodzi. Z Anglikiem
nie bądź więc ani chłodny, ani ser-
deczny. Chłodu nie zauważysz, serdecznie
wyciągniętych ręk nie spostrzeże — a
choćby je spostrzegł nawet — byłyby
naprawdę w wielkim kłopotcie. W Anglii
w ogóle nie podaje się
rąk. Zacfianie. Przeżyte. Dotyk, to
już coś nazbyt poufatego, coś co się za-
nadto wdżera w cudze życie. A to jest
nie do przebaczenia! Nie mów też Angli-
kowi o niczym, co cię osobiście na-
prawdę obchodzi czy dotyczy i nigdy o
nie takiego jego nie zapytaj! To nietakt
i to nietakt w bardzo złym guście. W do-
datku... Na szczęście masz pogodę. O
pogodzie możesz mówić z każdym ile
chcesz. I nigdy nie przesadzisz. Portier,
mleczarz, lord, listonosz, praczką, lady,
czy sklepikarz, zamiast „dzień dobry”
niechybnie powie ci coś o pogodzie.
Masz to przyjąć poważnie, w skupieniu
i wcale się nie zdziwić, gdy dwa kroki
dalej ktoś drugi powie ci to samo. W sa-
lonie ogólna rozmowa o pogodzie nie
jest nigdy uważana za banalną. Ne-
takterem właśnie byłoby silenie się na
jakaś bardziej oryginalną rozmowę.
Możesz być pewny natomiast, że jeśliś
cały „five” przegadał z kimś o pogoda-
ch całego roku, długo będzie wspomi-
niał to „interesting” popołudnie.

Bo w Anglii naprawdę ma się chwi-
lamj wrażenie, że ta potoczna nijaką
gładkością form, kupują tu sobie wszyst-
cy wewnętrzna nietykalskość osobista.
Ze wplacając do wspólnej puli, punktu-
alnie i solidnie, umówione wkładki
w tej zdawkowej — lecz jakże w dot-
knięciu dobroczynnie gładkiej — mone-
cie, nabywają prawo wycofania z obie-
gu swej indywidualności. Są zamknię-
ci, wyłączeni, swoi własni. I ty ich w
zasadzie nie nie obchodzisz i bardzo
proszą aby oni ciebie w zasadzie nie nie
obchodzili. Powleczeni „ochronną bar-
wą” tej ogłady, są „każdy sobie”, ni-
czym oka na rosale. Może być, że tyżką
długiej, wypróbowanej przyjaźni można
takie oddzielne oka ze sobą pojączyć,
ale i wtedy przyjaźń taka — choć wier-
na i niezawodna — będzie napewno
mniej wylewna, mniej wymowna i
mniej osobista od tej, która umie łą-
czyć ze sobą ludzi Kontynentu. Ci „con-
tinenta! people” mają w ogóle w sobie
zawsze coś, co tych chłodnych, pow-
ściągliwych Wyspiarzy zdumiewa —
aby nie powieść — gorszy. Nasze
myślenie odbywa się szybciej i inaczej.
Oni nie nadają się, zwłaszcza, że wcale
nie są pewni czy... warto? Nasze koja-
rzenia chodzą w zakosy, wnioski — na
przełaj czasem. (A tam na przełaj nic
— nawet pies!) My już umiemy sobie
wyobrazić to, co widzimy dopiero nasza
wyobraźnia — oni mogą wyobrazić so-
bie to dopiero o co widzimy. Może nie cal-
kiem tak, ale podobnie... I wcale się
tym nie martwią. Naprawdę dziwny lu-
dzie! Zawieszni jak kokon w oprzędzie
potocznej, zdawkowej uprzejmości, ma-
ją dla innych kokonów taką samą po-
prawą, zdawkową nijakość, jaką mają
dla niego tamte. Jak się czują — jak
sam na sam w tym oprzędzie — jak
to dzieje, że nie giną z nudów — nie
wiem. Fakt jednak, że nie tylko nie
giną, ale przeciętnie, chcą żeby im nadal
było tak jak dotąd. Niechęć im będzie.



W londyńskiej mgle

Kiedy nam więc — razem ze znów
trąconym globusem — podplynie pod
pięty ta dziwna mglista Wyspa, kiedy
zaszumią nam nad głowami zadufane
drzewa Jego Królewskiej Mości, a lu-
dzie — ci z nami, w naszym i innym — starać
się będą zastosować względem nas tę
swoją poprawną uprzejmość — przy-
mijmy ją uprzejmie, bez kwasu, bez

goryczy, pamiętając o tej „innocenci”, któ-
ra dzieli nas — zmęczonych, bezdomnych
ludzi Kontynentu — od tych wrośniętych
w bezpieczeństwo, zasiedziałych Wyspiarzy.
Nawet nie rozumiejąc się wzajem-
nie, możemy się od nich wiele pożytecz-
nego nauczyć. Na wszystko — nie za-
mieniałabym się z nimi za żadne skar-
by świata! To pewne jednak, że uważni

obserwowanie cudzych zwyczajów i za-
let, cudzego sposobu myślenia i życia,
cudzej mądrości — do cudzych dziwactw
włącznie — może być jedną z niezaprze-
czonych korzyści, jaką wyciągnąć mo-
żemy z tego męczącego, ustawicznego
przelatywania pod nami szarych plam
lądów na globusie.

BEATA OBERTYŃSKA

NA ZAKOŃCZENIE DISKUSJI O MŁODZIEŻY

Zapoczątkowana w numerze lutymowym
br. „Ochotniczki” dyskusja na temat
wychowania młodzieży przyniosła szereg
artykułów pisanych przeważnie przez
młodzież. Dla przypomnienia czytelnik-
kom przytoczymy zasadnicze wypowiedzi
autorów.

Młody działacz społeczny Stanisław
Chojnacki, rozpoczynając dyskusję arty-
kułem p. t. „Uwagi na temat wychowa-
nia młodzieży”, robi odważny rachunek
sumienia. Stwierdza, że nasza młodzież
wychowana przez wojnę „jest intelekту-
alnie ogromnie bezradna i naiwna. Nie
ma umiejętności kojarzenia przyczyn i
skutków i umiejśnienia myślenia w ogó-
le”, a ten brak dojrzałości intelektualnej
czyni, że reakcje młodzieży są w dużym
stopniu nieprzewidywane. „Młodzież nie
jest przygotowana do zwalczania zagad-
nień życia codziennego. Cechuje ją
przedwczesna umiejśność przystosowa-
nia się do rzeczywistości, która w pew-
nych warunkach wojennych doprowadza
do konfliktu z zasadami moralnymi.

Dyskusję podjęła w następnym nume-
rze „Ochotniczki” Irena Zagórska w arty-
kułku p. t. „Jeszcze o młodzieży”, anali-
zując przyczyny, które wpłynęły na wy-
tworzenie się specyficznych cech charak-
teru naszej młodzieży i które budzą w nas
niepokój. Autorka artykułu jest stu-
dentką i przebywa w Ośrodku Akademic-
kim w Rzymie. Zwraca ona uwagę na to,
że niebezpośrednio zatamania się cha-
rakterów młodzieży wypływa z tego, że
młodzież, z wysokiego standardu beha-
wialnych wysiłków, spadła bezradnie w
dzień powszedni. Należałoby młodzieży
— zdaniem autorki — dać trening po-
trzebny do codziennego życia i możliwość
dopędzenia straconego czasu przez kształ-
cenie się i wyprostowywanie tym samym
spaczeń w rozwoju psychicznym.

W artykule p. t. „Klimat moralny”
(numer marcowy „Ochotniczki”), pod-
pisany pseudonimem Mir, pod którym
kryje się nazwisko oficera Armii Krajowej,
członka dywersji, dowódcy sztur-
mówki w Powstaniu Warszawskim i ko-
mandosa 2. Korpusu — czytamy m. in.:

„Mamy szereg braków, masę wad, ale
również wiele cennych zdobyczy charak-
teru, których nie powinniśmy zatracić”.
Autor wylicza te zalety charakteru, są
nimi: inicjatywa i przedsięwzięcie,
wielka bezinteresowność osobistego ży-
cia, świadomość społeczna i polityczna.
Aby te cechy mogły się rozwijać żąda
autor atmosfery wychowawczej niezafa-
szowanej żadnymi górnolotnymi fraze-
sami bez pokrycia; środowiska, które
wzmocniłyby wiarę we własne siły i
możliwość i budziły poczucie odpowie-
dzialności; środowiska o nieustępliwej
opinii społecznej w sprawach uczciwości
i prawdomówności, które by dopomogły
młodzieży przygotować się do życia spo-
łecznego, nauczyły szukać własnej pol-
tecznej nauki, poszanowania cudzych
stać prawdziwej, poszanowania cudzych
dokonań i umiejśności zgłębiania cu-
dziej prawdy. Wychowawcy i wychowy-
wani muszą razem wypracować świadom-
ość tego, jak pragną kształtować obli-
czę przyszłej Polski. Wychowanie
oprzec się musi na wrodzonych cechach
narodowych, którym się Polaków:

umiatowanie wolności sumienia, myśli i
czynu.

Artykuł „Nowa Polska jest w nas”,
(nr majowy „Ochotniczki”) znaczący
inicjatorami H. F., którego autorką jest
terogoczna maturzystka Gimmazjum i
Liceum P.S.K. w Ś. Giorgo, podejmuje
problem zespalania i spajania się nasze-
go społeczeństwa emigracyjnego. Spe-
cjalnie omawia zetknięcie się młodzieży
A.K. z młodzieżą 2. Korpusu, zalecając
wymianę zdobyczy wartości moralnych.
Autorka uważa że jedno z najistotniej-
szych zadań emigracji ułatwienie mło-
dzieży kształcenia się i korzystania z ota-
czających ją dóbr kulturalnych, aby wró-
ciwszy potem do Kraju, była „kadra or-
ganizacyjna”. Autorka wierzy, że „jeśli
będziemy robili wszystko na co nas stać
i co jest naszym zadaniem, okres emigra-
cyjny będzie równie twórczy, jak dalsza
praca w Kraju”.

Do numeru czerwcowego „Ochotniczki”
nadeszła artykuł dyskusyjny znana pi-
sarka i tłumaczka Stanisława Kusze-
lewska p. t. „Już teraz”. Żąda ona od mło-
dzieży wysiłku w trzech kierunkach: 1)
wypracowania światopoglądu, 2) zdobycia
wykształcenia fachowego (dwa fache: fach
główny i fach poboczny, niejako zapaso-
wy) i 3) samowystarczalności w gospo-
darczej obsłudze siebie i własnego domu.
Autorka zwraca uwagę, że najwyższy czas
poddając zorganizowaną, przemysłową pra-
cę na przygotowanie młodzieży do po-
wojennego życia, „jeśli bowiem „radzić”
zacznie po n'ewczasie brutalne życie,
dzieciom polskim będzie bardzo źle”.

BALLADA O KADZIACH

Drzewa wygięte nieręczynościami
Szumią jak ul; Soczyście, zielone liście
I pasma pól.

Na dloniach może, może na ustach
Rosa się skrzą — Były tam kadzie, każda kadź pusta,
Było ich trzy.

Z dębowych desek, z wiązań opastych,
Z grubego dna Ciemność dudniła, chłód głucho kaszał
Co dnia, co dnia.

Podobno wewnątrz, w osłizgłej arce,
Był inny świat — Zły dziad tam hulaj, wyczyniał harce
I dzieci krał.

Później się słońce wlatło przez otwór
I winna pleśń; Pił wino gełzarz, pleśniał się otrut
I urwał pieśń.

W kadzi chichocze dziad o pánocy
Wśród mokrych ścian, A na mnie patrzy gełzarz oczy,
Gdy jestem sam.

I śmiech jak zmora gna mroczną sienią
I pachnie pleśń — O, nikt nie chce nocą samemu
Wracać-przez wieś!

ARTUR MIĘDZYRZECKI

Sprawę przygotowania młodzieży do
praktycznego życia rozwinęła w artykule
(nr 1 pieczę sierpien) p. t. „Praktyczne przy-
spobienie do życia” polską działaczką
spoleczną z terenu Francji, Janina Le-
wulsiowa, radząc młodzieży polskiej wy-
korzystywać możliwości przysposobienia
sie do praktycznego życia, otwierając się
przed nią obecne w Anglii, Polskietmu
spoleczeństwu emigracyjnemu i kadzie
autorka na sercu troskę o ułatwienie mło-
dzieży zdobywania coraz wyższego po-
ziomu kulturalnego.

Cykl artykułów dyskusyjnych kończy
dr med. Weryła, pisząc „O nowym czło-
wieku” — dziełnym i uczelnym, wycho-
wanym według nauki Chrystusowej,
wśród zdobyczy kultury współczesnej,
„Anormalny proces materjalizowania, ze-
psucia, zdziwienia, barbarzyństwa i zaprze-
czenia wszelkim prawom Boskim i lud-
kim, jaki rozgrywa się wokół Polski, musi
być przerwany i odwrócony, a Polska ma
wziąć w tym działaniu jak najczynniejszy
udział” — pisze autor. I dalej: „Zada-
niem naszych braci w Kraju jest nieustan-
na, codzienna walka o utrzymanie narodo-
wego istnienia obowiązekiem naszym na
emigracji winno być kształcenie myśli
i ucząc młodzieży”.

W związku ze zmianą m. p., Redakcja
zamyka narazie dyskusję o wychowaniu
młodzieży. Reasumując zagadnienia poru-
szone we wszystkich artykułach dysku-
syjnych stwierdzamy, że na plan pierwszy
zadań, które podjąć musi emigracja pol-
ska, wysuwa się sprawa stworzenia jak
najlepszych i możliwie jak najnormalniej-
szych warunków życia i kształcenia się
młodzieży polskiej, oraz sprawa udo-
stepnienia jej źródeł kulturalnych. Troska
o stworzenie domów rodzinnych, zorganizo-
waniu burs, nauki szkolnej i uniwersy-
teckiej, zorganizowanie wyjazdów —
wymaga n'ewzwykle głębokiego prze-
myślenia i dużego wysiłku. Nielatwą bo-
wem jest sprawa zalecania ran psy-
chicznych młodzieży wojennej i nielatwe
jest organizowanie form życia w warun-
kach, w które wchodzimy.

Stworzenie klimatu moralnego, o co
dopomina się jeden ze streszczonych tu
artykułów i plan naszego duchowego roz-
woju powinien być wypracowany wspólnie
z młodzieżą. Dałoby to bardzo inte-
resujące wyniki form społecznych i wy-
chowawczych.

Specjalnie ciekawym działem pracy wy-
chowawczej, wymagającym zaplanowania
i rozpracowania, jest wykorzystanie moż-
liwości zdobycia fachów i przysposobienia
praktycznego do życia, jakie może dać
nasz pobyt po za granicami Kraju i
uczestnictwo w życiu innych narodów.

Dyskusja nie wyczerpała problemów
wychowawczych, poruszając jedynie te
momenty, które wysuwały się na pierw-
szy plan w środowisku naszym w Wło-
szech. Nielatwą w narosną zagadnienie
w nowych warunkach emigracyjnych,
związane z nowymi formami naszego ży-
cia, w którym głównym zadaniem będzie
przygotowanie młodzieży do pracy w przy-
szej wolnej Polsce.

ZOFIA WAŃKOWICZOWA

W DNIU IMIENIN INSPEKTORKI P.S.K. 2. KORPUSU



Plk. Bronisława Wystouchowa, Inspektorka P. S. K. 2. Korpusu

Pewna ilość oddziałów Pomocniczej Służby Kobiet 2. Korpusu jest już w Anglii, inne w najbliższym czasie wyjadą z Włoch. Ale chociaż nie jesteśmy razem, wspólnie bo jednakowo przeżywamy dzień Imienin Inspektorki, który zawsze bywał skromnym lecz serdecznym i samoradnym świętem P.S.K. Chcemy więc na tym miejscu, w na-

PIĘĆ LAT P. S. K.

Kiedy liczymy lata, które nas dzieła od Kraju, kiedy najejdniej z nas nałczywszy do siedmiu i najpiętniejszy je najbardziej nieprawdopodobnymi przeżyciami, usiłując „wymierzyć” je w czasie — natrafiamy na dzwonek zjawisko. Oto lata te są elastyczne, jak guma. Niekiedy zdają się wydłużone, innym razem krótsze od rzeczywistych ich trwania. Wtedy myślimy i mówimy pobieżnie tę cyfrę, wierząc, że nie oddzieliła nas od Kraju, rodziny, najbliższych. Są to skróty i gatunku uczuciowych. Nazywamy je po prostu: wiernością. Z nią właśnie, z tą wiernością w sercu i w pamięci idziemy znowu dalej w świat, niezrażeni niespodziankami losu, niepokonani faktami, które szeregują się w historię świata i naszą.

Nie znaczy to jednak, że staliśmy się już bierni wobec tego, co się dzieje. Przeciwnie — mamy teraz wyostroszoną świadomość rzeczywistości, wyczułona intuicją, i niesłabnącą energię w pokonywaniu przeciwności. Poznaliśmy przecież z bliska ową skondensowaną historię, jej siedmiolateńskie szalenstwa i zbrodnie, i jej bezradność wobec praw boskich, które ostаточно muszą zapanaować na świecie. Dlatego też, wbrew nieszczęśliwym, które dotknęły nasz Kraj i mimo lat zgrozy i walki, wierzymy, że sprawa nasza nie jest zakończona, a naród nie jest pokonany ani tam w Kraju, ani tu na łutaczce. Nic z tego, co się działo i stało nie będzie bez wpływu na przyszłe formowanie się naszego losu. Praca i czynny udział w budowaniu, a nie w konstrukcyjnym chaosie, które doniosłością nie potrafimy sobie jeszcze w tej chwili ogarnąć. Nie możemy bowiem jeszcze naszej historii wiązanej z przyczynami i skutkami. Piszemy

szym piśmie, które w tej chwili reprezentuje całość P.S.K. 2. Korpusu, wyrazić nie tylko głębokie uczucia, jakie żywią ochotniczki dla swojej Inspektorki, ale i podziw dla Jej niestrudzonej pracy.

Od Jangi-Jul w ZSRR poczawszy — kieruje ptk. Bronisława Wystouchowa Pomocniczą Służbą Kobiet, prowadząc nas do coraz lepszych wyników w służbie, i zdobywając dla nas należne miejsce w ramach organizacji wojskowej. W sumie dało to duże osiągnięcia na rzecz sprawy kobiecej, ciągle jeszcze z trudem torującej sobie drogę do równouprawnienia i sprawiedliwości. — Równoległe z zadaniami, uzasadniającymi istnienie P.S.K. w wojsku, pojmuje Inspektorka Wystouchowa swoją pracę społecznie i w tej dziedzinie spełnia więcej niż by się to zdawało możliwe. Opieka nad powierzonymi Jej kierownictwu kobietami objęta rozmaite działy ich potrzeb, związanych z nowymi, a niejednokrotnie ciężkimi warunkami gromadnego życia. Domy wypoczynkowe, Domy Matki i Dziecka, a zwłaszcza stworzenie możliwości kształcenia się młodzieży P.S.K. w szkołach ogólnokształcących i na wyższych uczelniach, organizowanie kursów specjalnych i fachowych — złożyło się na piękny dorobek społeczno-kulturalny, którego inicjatorką i realizatorką jest Bronisława Wystouchowa. Dzieła te, tworzone z dużym nakładem pracy, nie wykluczają jednak indywidualnej, gorącym sercem udzielanej pomocy, do której zawsze gotowa jest Inspektorka.

Unikając słów pochwalnych, których tak nie lubi Inspektorka, streszczamy tu tylko w kilku suchych zdaniach Jej trud i osiągnięte wyniki. Teraz, kiedy Pomocniczą Służbą Kobiet 2. Korpusu czekają nowe warunki i nowe zadania, ptk. Bronisława Wystouchowa rozplannuje szeroko dalszą pracę, aby ochotniczki przygotowane do życia cywilnego na obczyźnie, a w przyszłości — w Kraju.

W dniu Imienin życzymy Pani Inspektorce, żeby wszystkie Jej zamiary udawały się bez trudu, żeby wszystkie Jej pragnienia spełniły się szczęśliwie według Jej zastęg i wielkiego serca.

REDAKCJA „OCHOTNICZKI”

jedynie kronikę, dzieląc ją na odcinki, niezależnie od hierarchii.

W kronikach wszystko jest ważne, można powiedzieć: demokratycznie zrównane. Totż na dzieje naszej Armii: — od ZSRR aż do uformowania się 2. Korpusu — składają się szczegóły codziennej pracy i czynny bohaterstwo. Kronikarz nie przepuścił niczego, jednakowo ceniąc sobie niłkość i wspaniałość, skromność i wielkość, aby z nich złożyć obraz prawdziwy o cechach pełnych życia.

Więc i Pomocnicza Służba Kobiet 2. Korpusu może i powinna spisać po kronikarsku pięć lat swojej pracy. W niniejszych rozważaniach nie podejmujemy się jednak tego. Chodzi nam bowiem w tej chwili, kiedy zamyka się ten rozdział, czy spory tom naszej pracy nie o to, co i jak robiliśmy przez pięć lat służby w wojsku, ale o to, jakimi staliśmy się w tych, tak nadzwyczajnych dla kobiet warunkach życia i pracy. Nie należy bowiem wątpić, że nastąpiły zmiany w psychice tych kobiet, że jakoś inaczej ukształtowały się ich charaktery. Coś z dawnych kobiecych cech przepadało, coś nowego wydobyło się na jaw. Jaką zatem stała się kobieta w ramach, w ryzach, w dyscyplinie wojskowej? Czy nie są uzasadnione obawy tych wszystkich sceptyków i niezadowolonych wszelakiego kalibru, powołujących się na estetykę i etykę, na tradycje i naukowe teorie? Albo — ile jest prawd w wywodach entuzjastów, którzy już nas winują na cokoły, gotowi do tworzenia legend, do frazeologicznych sztańc na temat kobiety polskiej?

My — kobiety polskie — nie godzimy się na żadną z tych skramości, wędzą

o sobie więcej, i sprawiedliwiej oceniając nasze osiągnięcia i niedociągnięcia.

Mozemy zatem stwierdzić, że udało nam się w tej pięcioletniej służbie wojskowej pokonać wewnętrzne opory, wynikające z naszego indywidualizmu. Kobiety, dla których osobny dom, zamknięty krąg rodzinny, odrębność i specyficzność zainteresowań a nawet zajęć, wydawały się czymś nieodzownym, zniosły świetnie życie gromadne. Nawet w najcięższych warunkach zakwaterowania, w zmiennych i trudnych do zniesienia klimatach, przypadkowo dobrane zespoły kobiet żyły z sobą zgodliwie, pełne pogody, wzajemnej ustępliwości, niejednokrotnie serdeczności, a niemal zawsze w dobrym koleżeństwie.

Zdałem mi się, że przede wszystkim ta dobra forma kobiet w życiu gromadnym zasługuje na wyróżnienie jako cecha charakteru, nie przypisywana dotąd kobietom. Nie należy jednak zbyt upraszczać tego zjawiska. W życiu gromadnym, które na ogół tak spokojnie i gładko się układało, kobiety okazały się wyrozumiałe i ustęplive właśnie dlatego, że w jego obrębie każda umiała zorganizować sobie swój osobny świat, ograniczając się do własnego kąta w namiocie czy w baraku. Taki surogat domu, zdobytego według własnego smaku, nieuzgodnionego z całością wspólnej kwatery, wskazywałby raczej na nieuspokojenie kobiet, na tę nadal trwającą w ich psychice osobność, niechby tylko gustu zdobniczego. Poruszam to tylko na marginesie, na gadanieniu, gdyż o wiele ważniejszą w tej sprawie wydaje się być to przyznawanie kobiet do domu, jako do ośrodka ich życia. Pozostał więc niezmienny instylnki albo świadomość rodzinnego życia, którego podstawa czy też karia-

tydą jest kobieta. Czee ona i musi budować rodzinę, dzwigać ją na swoich barkach, gospodarzyć w niej, być w niej matką i wychowawczynią, panią i służebną. Z wielkiego i niedocenianego trudu kobiecego niczego nie wyrzekły się kobiety-żołnierze P.S.K., mimo „niematuralności” swojej pracy, mimo munduru, stopni, szarż, odpowiedzialnych obowiązków i stanowisk. Mimo wreszcie przywiązania do tych wojskowych zajęć i spełniania ich solidnie a nawet z zapalem.

Zatrzymajmy się jednak nieco nad tą pracą właśnie, gdyż jej spełnianie i jej rodzaj najlepiej scharakteryzują nam tę „nową” kobietę kształtowaną przez pięć lat ochotniczej służby w wojsku. Regulaminy, rozkazy, wyszkolenie wojskowe — wywierały oczywiście wpływ, ale może raczej na zewnętrzną postawę ochotniczek. Praca sama we wszystkich działach służby ujawnia natomiast te cechy charakteru kobiecego, które były albo niedostężane, albo lekceważone dotąd. Cóż bowiem widziano o wytrwałości i wytrzymałości fizycznej i duchowej kobiet? Co o ich ambicji pracy, o skromności wymagań, o wewnętrznym zdyscyplinowaniu, o siuszeństwie, odwadze, inicjatywie, energii, poczuciu honoru? Owszem — widziano o wyróżniających się jednostkach, które stawiano na piedestale, czyniąc z nich niedosiężne wzory i wyjątki potwierdzające regułę, albo, zależnie od przekonania i humoru — wynaturzone dziwolagi. Teraz nie były to już jednostki, ale masa, tysiące kobiet bardzo pospolitych, bardzo przeciętnych, bardzo kobiecych. Wyjątkami natomiast były te, które nie nadążały w pracy i nie spełniały swojego obowiązku.

Należy to dodatnie cechy charakteru kobiet z P.S.K. tym silnie podkreślić. Że przecież łatwo i szybko przejdzie się nad nimi, do porządku, aby móc nadal i uparcie pozostać przy niekontrolowanej, lekceważącej ocenie, przy banalnym charakterologicznym, wreszcie przy wszelakich łatwiznach pojęciowych, z których powstają bądź to docipne powiedzonka, bądź krzywdzące

ogólnienia. Po tym, jak zachowywały się, jak pracowały kobiety z P.S.K. — nie mówimy tu, aby nie rozszerzać naszego tematu, o kobietach w Kraju — anachronizmem doprawdy zawstydzającym są dziś te „ustalenia”, do których będą powracać niepoprawni frazesowcze, bajczarze, pseudomoralizatorzy, zacofane półgłówki i całe to gromadnie lub w pojedynkę chodzące ludzkie prostackwo. Nie należy mieć złudzeń: „wyżej wymienieni” będą stale powracać do swoich „doświadczeń”, „obserwacji” i „teorii”. Nie już jednak nie zmieni tego, co się dokonało i wyzwoliło w psychice kobiet-żołnierzy. Takie, jakie są dziś, będą właśnie współpracowały w budowaniu nowej Polski i lepszego ładu rodzinnego, społecznego, państwowego.

Kiedy we wrześniu 1941 roku zaczęła się w ZSRR organizować Pomocnicza Służba Kobiet z powołaniem się na prawną jej podstawę ustawy kwietniowej z 1938 roku, nikt nie mógł przewidzieć ani tak wielkiej liczebności kobiet, ani zasięgu ich pracy w wojsku, ani tych przeobrażeń, które dokonały się w ich psychice. Tworząc P.S.K. po trudnych petrakcjach z władzami sowieckimi, generał Anders miał dwojakie cele: wyratowanie jaknajwiększej ilości kobiet z rosyjskiego piekła i stworzenie siły zastępczych w wojsku, do którego dopłyłyby hamowany przez N.K.W.D. Potem słyż już sprawy P.S.K. nadanym rozpadem przy zmienianych kilkakrotnie planach organizacyjnych. Co tu dużo mówić — słyż wbrew oporom, stawianym nie raz i nie dwa razy przez ludzi, trzymających się kurczowo „zasad”, a nie dostrzegających potrzeb aktualnych. Są to oczywiście tzw. etapy, przez które trzeba było przebrnąć cierpliwie i konsekwentnie. Władze P.S.K. mogły jednak zawsze liczyć na Dowódcę, który polegał na wartości kobiet w pełnieniu wyznaczonych działów służby w wojsku.

Okazało się, zwłaszcza podczas działań bojowych we Włoszech, że zaufanie Dowódcy do P.S.K. było uzasadnione. Niech to więc nikogo nie uraża, jeżeli

powiemy, że w związku ze spełnianiem naszych żądań wzrosło nasze samopoczucie. Wiedzieliśmy przecież, że jesteśmy potrzebne i przydatne. Przynależność do siły w dużym stopniu do tych przeobrażeń i ujawnienie psychiki kobiecej w znaczeniu — naszym zdaniem — dodatnim. Inspektorka Wystouchowa okraśliła to w swoim artykule w ten sposób: „Czas uchodźstwa — czas próby” — w nr. „Ochotniczeki” 7-8, lipiec, sierpień, 1946 r.): „Ochotniczeki P.S.K. potrafiły zawsze zachować równowagę ducha w chwilach przełomowych. Nie ulegały panice, nie zmieniały przekonania, nie dbały o osobiste sprawy i interesy, nie słuchały podszepłów. W każdej sytuacji umiały wybrać to jedyną wyjście, które było zgodne z naszym poczuciem obywatelskim. Nikt nie wyłamwał się dotąd z szeregów P.S.K.”

Nie jest to pochwała z ust Przełożonej, tylko stwierdzenie faktu. Totż mówiąca Pomocnicza Służba Kobiet, czy w skrócie P.S.K., wiemy do czego na przyszłość obowiązują nas przynależność do niej. W trudniejszych niż dotąd warunkach, pracując, tworząc dom, walcząc o byt, nie zatrucimy tych dodatnich cech, które nabyliśmy w pięcioletniej służbie wojskowej. Raczej jeszcze je spotęgujemy w tej walce, w której nie sprawność bojowa rozstrzygać będzie, ale silny charakter i w i e r n o ś ć uczuć dla Kraju, naszych rodzin tam i tych wszystkich, którzy na nas czekają.

Pięc lat naszej służby w wojsku! Jeżeli odwrócimy się wstecz ku tym latom, nie potrafimy oprzeć się wzruszeniu. Te lata zamknęły przecież w sobie wszystko, co było w nas najlepszego: pracę, przyjaźń, miłość...

Nie należy się wstydzic tego, że rozstać się z mundurem będzie dla nas ciężkim przeżyciem. Nożyliśmy go przez sześć długich lat. Był dla nas najpiękniejszą suknią zdobną naszą pracą i nas samą. Pięc lat naszej żołnierskiej służby zapamiętamy na zawsze i serdecznie.

A mundury przechowajmy — bo kto wie...

HERMINIA NAGLEROWA

KURSY I SZKOŁY P. S. K. NA TERENIE WŁOCH

Włoch. Kurs ten ukończyło 25 kobiet z robotniczej ochotnicy w Francji. Prócz podstawowych wiadomości o służbie wojskowej, prowadzono na tym kursie specjalne wykłady z zakresu elementarnej wiedzy o Polsce, języka polskiego, literatury, historii i geografii. Było to konieczne ze względu na element ochotniczek, z których większość pochodziła ze środowiska przedwojennej emigracji robotniczej we Francji i częstokroć nawet słabo władająca językiem polskim.

Po przybyciu do Włoch, polskiej ludności cywilnej z terenu Austrii, ok. 600 młodych kobiet zgłosiło do P.S.K. Po przeprowadzonej wstępnej selekcji, 580 kobiet przeszło kurs unitarny w Obozie Przejściowym dla P.S.K. w Martina Franco. Kobiety te rekrutowały się prawie wyłącznie z pracownic fizycznych, wywiezionych przez Niemców do pracy na roli. Kurs trwał 6 tygodni i został zakończony dnia 5.6.1945 z pomyślnym wynikiem dla 431 kobiet. Do Komendy Obozu Martina Franco przydzielono na stago podchorążych P.S.K., które właśnie ukończyły szkołę podchorążych P.S.K. w Materze. Konenda wraz z kadrami inspektorkałożyły wiele wysiłku i pracy, aby stawały bezpośrednio do służby w swoim zastawie. Napiły kobiet z A.K. do 2. Korpusu były duże. Ze strony inspektoratu P.S.K. zrobiono wszystko, aby żołnierki z A.K. były do P.S.K. przystąpiły, żeby wchodzić do zorganizowanych oddziałów P.S.K. czuły się z nami, jak jedna gromada, zwaną jednym celem i pragnieniem.

Poszczególne oddziały P.S.K. organizowały

SKOLENIE WOJSKOWE KURSU UNITARNE

1. w Obozie Bazy 2. Korpusu w S. Basilio, w 17 kompanii P.S.K. od 12.2. do 16.3.1945 zorganizowano pierwszy kurs unitarny na terenie



Ćwiczenia kartograficzne w terenie

SZKOLENIE KADR OFICERSKICH I PODOFICERSKICH

Przy Centrum Wyszkolenia Armii w Materze został z dniem 24. 3. 1945 r. uruchomiony Ośrodek Wyszkolenia P.S.K. Komenda O.W. P.S.K. prowadziła szkołę podchorążych i szkołę podoficerską P.S.K., które pod względem fachowym podlegały Dyrektorowi Nauk Służb.

Szkola podchorążych P.S.K. miała na celu przygotowanie ochotniczek do pełnienia funkcji na stanowiskach oficerskich w oddziałach P.S.K. Program szkoły obejmował: wychowanie obywatelskie fizyczne, szkolenie w ramach drużyny i plutonu, szkolenie motorowe, znajomość regulaminów i instrukcji w zakresie dla jednostek P.S.K., oraz ogólne wiadomości o organizacji Armii, terenoznawstwo, łączności zapotrzebowaniu i ewakuacji ratowniczej OPI i OPGAZ. Kurs szkoły podchorążych ukończyły wszystkie uczennice w liczbie 26 dnia 23.6.1945.

Następny kurs szkoły podchorążych został zorganizowany przy oddziale Wyszkolenia Służb w C.W.A. — w Altamurze, od 7.1. do 14.4.1946 r. Program w porównaniu z poprzednim był rozszerzony przez wprowadzenie większej ilości godzin i zajęć praktycznych z administracji zaopatrzenia, transportu i ewakuacji, gospodarki w oddziale i pododdziale, pisanie na maszynie, biurowości i języka angielskiego. Zwiększono natomiast ilość godzin przeszkolenia bojowego i wyszkolenia motowa.

wego. Odbywały się wykłady z zakresu nauki o Polsce, o sytuacji politycznej i społecznej Kraju, o zagadnieniach kobiecych. — W tym samym czasie odbywał się trzymiesięczny kurs dla oficerów z A.K.

Kurs aplikacyjny dla komendantek P.S.K., zorganizowany rozkazem Dowódcy Korpusu, odbył się w czasie od 1. do 21. kwietnia 1945 roku w Anconie. Zadaniem kursu było pogłębienie i uaktualnienie wiadomości z zakresu organizacji broni i służb, funkcjonowania służb w polu, służby wewnętrznej oraz wiadomości ogólnowojskowych. Kurs ukończyło 20 komendantek P.S.K., posiadających już dłuższą praktykę na stanowiskach dowódczych P.S.K. Jeszcze od ZSRR poczawszy.

Szkola podoficerska P.S.K. zorganizowana została w czasie od 21.5. do 7.7.1945 r., a więc już po zakończeniu akcji. Zadaniem kursu było wyszkolenie ochotniczek na pomocnicze stanowiska instruktorskie i do obsady funkcji w oddziałach P.S.K. Kurs ukończyło 23 ochotniczek.

KURSY SPECJALNE

Dorywcze doszkalające kursy specjalne odbywały się podczas działań 2. Korpusu we Włoszech w ramach oddziałów, w czasie względnych przerw w nasileniu akcji. W ogóle wszystkie oddziały P.S.K. wykorzystywały każdą możliwość, aby doszkalać swój personel.



Nauka o Polsce

KURSY SANITARNE

W szpitalach wojennych wykorzystywano czas chwilowego wypoczynku na przyszkolenie pod względem wojskowym i sanitarnym na krótkich kursach pielęgniarskich. — Szkolenia nowych kadr siostr rozpoczęło się już po zakończeniu akcji wojennej.

Przy Szpitalu Wojennym nr. 7 zorganizowany został w czasie od 12.8. do 30.11.1945 r. kurs dla siostr Pogotowia Sanitarnego. Ukończyło kurs 43 ochotniczki. Następny kurs dla siostr w tymże szpitalu odbył się od 10.12. 1945 r. do 8.5.1946 r. Kurs ten ukończyło 43 ochotniczki. W czasie od 12.3. do 5.5. 1946 r. zorganizowano kurs dla sanitariuszek, który ukończyło 20 ochotniczek.

Przy Szpitalu Wojennym nr. 7 zorganizowano pięcioletni kurs siostr Pogotowia Sanitarnego przy udziale 18 ochotniczek.

Przy Szpitalu Wojennym nr. 3 odbył się w styczniu 1944 kurs sanitarny doszkoleniowy dla sanitariuszek. Zajęcia odbywały się w godzinach wieczornych przez dwa tygodnie po dwie godziny dziennie. Kurs ukończyło 52 ochotniczki. Następnie w październiku i w listopadzie 1945 r. odbył się kurs sanitarny dla sanitariuszek, który ukończyło 72 ochotniczki. Wszystkie sanitariuszki otrzymały świadectwa.

KURSY ŁĄCZNOŚCI

W Kompanii Łączności doszkolenie i doskonalenie ochotniczek w specjalności odbywało się stale nie tylko w okresach odpoczynku, ale i w czasie trwania akcji.

Po bitwie o Monte Cassino, 389 pluton Radio odbył wielkie ćwiczenia radiowe, po których radiotelegrafistki złożyły egzamin i otrzymały świadectwa. Kurs ten uznany został jako szkoła podoficerska łączności.

W grudniu 1944 rozpoczął się doskonalący kurs szyfrantek przy 104 sekcji szyfrów. Po kursie ochotniczki złożyły egzamin na specjalność wojskową „szyfrant”. W lutym 1945 przy 11 Baonie Łączności zorganizowano trzymiesięczny kurs dalekopisowy.

Ochotniczki przydzielone do 390 Kompanii Łączności w Bazie 2. Korpusu przeszły specjalnie dla nich zorganizowany kurs radiotelegraficzny.

KURSY KIEROWCZYŃ SAMOCHODOWYCH

W związku z wykruszeniem się elementu w oddziałach transportowych okazała się konieczność uzupełnienia obu kompanij transportowych. Przydzielono więc ochotniczki, które miały parę oddziałów szkoły powszechnej i zgłosiły się do tej pracy na ochotnika. Przy Szkole Kierowców 2. Korpusu w San Sepolero zorganizowany został w czasie od 30.6. do 27.10.1945 r. kurs kierowczyń samochodowych. W dwóch kolejnych turnusach — po 5 tygodni każdy — wyszkolono 94 kierowczyń, które następnie zasiadły szeregi 316 i 317 Komp Transportowe P.S.K.

317 Kompania Transportowa P.S.K. zorganizowała w S. Basilio — od 27.7. do 17.8.1945 r. kurs kierowczyń wyszkalając 36 ochotniczek.

Od marca do maja 1946 zorganizowano w Kompanii 317 kurs kierowczyń, na którym przeszkolono 27 ochotniczek.

KURS PGAZ

316 Kompania Transportowa P.S.K. doszkoliła kadrę podoficerską na 10 dniowym kursie p-gazowym w październiku 1944 r.

KURS ZAOPATRYWANIA I TRANSPORTU

316 Komp. Transp. P.S.K. przeprowadziła programowe przeszkolenie z zakresu służby zaopatrzenia i transportu od stycznia do czerwca 1946 r.

KURS KRESLARSKO - KARTOGRAFICZNY

W 313 plut. kartograficznym PSK, odbył się kurs kreslarsko-kartograficzny od października 1945 do maja 1946 r. Do plutonu tego wybrała element z średnim wykształceniem, wychodząc z założenia, że w życiu cywilnym będą te kobiety mogły pracować jako kartografki. Kurs był uznany jako szkoła podoficerska służby Geograficznej.

KURS ADMINISTRACYJNY

W Anconie odbył się w październiku 1945 czterotygodniowy kurs administracyjny dla oficerów P.S.K. Uczestniczki tego kursu rekrutowały się w większości z kobiet A.K.

KURS ŚWIETLIÇOWY

Na jesieni 1945 w Obozie Przejściowym P.S.K. w Maceracie zorganizował Inspektorat P.S.K. szereg kursów wyszkolenia zawodowego P.S.K. Jako pierwszy z projektowanych kursów odbył się w grudniu tego roku trzytygodniowy kurs świetlicowy, który ukończyły 32 ochotniczki.

KURS KANCELARYJNY

W maju 1946 rozpoczął się następny kurs w Maceracie. Trwał on trzy miesiące i przyszkolił 16 ochotniczek. Przewidywania na maszynie wykładano na kursie gospodarce pododdział, pisownie języka polskiego, naukę o Polsce, wiadomości o Anglii oraz początki języka angielskiego.

KURS KRAWIECKO-TRYKOTARSKI

Równolegle z wyżej wymienionym kursem, uruchomiono w Maceracie kurs krawiecko-trykotarski, na który odkomenderowano 24 ochotniczki. Program kursu obejmował krawiectwo, trykotarstwo, bieliźniarstwo, materiałoznawstwo i technologię, pisownię języka polskiego, rachunki, historię, geografie, higienę, religie, język angielski. Na kurs ten przydzielono 10 krawców żołnierzy, którzy zdawali egzamin czeladniczy. Instruktorkami były ochotniczki z oddziałów P.S.K.

KURS PIEKARSKO-KUCHARSKI

W Martina Franco jesienią 1945 r. zorganizowano pięciodniowy kurs piekarstwo-kucharzki, który ukończyło 45 ochotniczek po czym obsadzono nimi stanowiska kucharek w jednostkach P.S.K. Na kurs ten odkomenderowano dziewczęta z obozów niemieckich.

KURS PIESNIARSKI

6 ochotniczek P.S.K. ukończyło zorganizowany przez Polską YMCA w końcu września 1945 tygodniowy kurs poświęcony polskiej pieśni. Po ukończeniu kursa ochotniczki te uczyły piosenek w oddziałach P.S.K.

SZKOLENIE SPECJALNE W ODDZ. P.S.K.

Pluton administracyjny P.S.K. Dowództwa Bazy prowadził intensywną pracę doszkoleniową, organizując naukę pisaną na maszynie, doszkolenie świetliczek, dorywcze kursy kroju i szycia. Pluton P.S.K. Sekcji widowiskowo-rozrywkowej szkolił 7 ochotniczek w Szkole Dramatycznej 2. Korpusu. Przewidywanie kursów odkomenderowano poszczególne ochotniczki na kursy organizowane centralnie dla mężczyznan, np. kursy zaopatrzenia i transportu, kursy dla instruktorów nauczycieli języka angielskiego, itp.

Prawie we wszystkich jednostkach w okresie 1944-1946 organizowane były kursy języka angielskiego, w niektórych jednostkach także włoskiego i francuskiego. Szczególnie zwracała uwagę na naukę języka angielskiego dla ochotniczek pracujących w biurach. Do oddziałów polskich przydzielano instruktorów Anglików.

SZKOŁNICTWO OGÓLNOKSZAŁCĄCE

Szkołnictwo ogólnokształcące zostało rozwinięte szeroko już od roku 1942 w Palestynie i w Egipcie. Powstała jednak konieczność doszkolenia młodzieży, znajdującej się w wojsku we Włoszech, której udział w działaniach wojennych przerwał naukę. W związku z tym Dowódca 2. Korpusu zarządził w styczniu 1945 r. zorganizowanie pięcioletnich kursów maturalnych gimnazjalnych i licealnych dla żołnierzy posiadających wykształcenie 3 kl. gimnazjum, lub 1 kl. liceum.

KURSY MATURALNE

Pierwszy turnus kursów rozpoczął się 1. marca 1945 r. w Porto S. Giorgio. Na kurs odkomenderowano 77 ochotniczek i siostr, z czego 12 na kurs gimnazjum, 35 — liceum. Egzamin maturalny w zakresie gimnazjum złożyło 23 ochotniczki, w zakresie liceum — 18 ochotniczek.

Na koniec roku 1945 (7 grudnia), pomimo wielkich trudności ze znalezieniem odpowied-



Na kursie krawieckim

Fot. Lel. R.

niego lokalu, uruchomione zostało w Porto S. Giorgio Gimnazjum i Liceum P.S.K. przy udziale 230 uczennic, odkomenderowanych z oddziałów P.S.K., w tym 50% z Obozu Przejściowego Macerata kobiet z A.K., wiezionych do P.S.K. Zakończenie roku nastąpiło 3 lipca 1946. Egzamin dojrzałości zdało 20 uczennic małą maturę — 34.

KURSY OGÓLNOKSZAŁCĄCE W ODDZIAŁACH

Poszczególne oddziały P.S.K. organizowały kursy ogólnokształcące w zakresie szkoły średniej i powszechnej.

385 Kompania Łączności uruchomiła we wrześniu 1944 kurs doszkalaający z zakresu gimnazjum dla 20 ochotniczek. — 316 Komp. Transp. organizowała kursy przygotowawcze do I, II i III klasy gimn., od 20 czerwca do 12 listopada 1944 dla 30 ochotniczek, oraz kurs 4 kl. szkoły powszechnej od 1 maja 1946 przy udziale 56 ochotniczek. — 317 Komp. Transp. organizowała komplety II i III kl. gimn. w czasie od kwietnia do października 1945 dla 46 ochotniczek, oraz kurs szkoły powszechnej od grudnia 1945 do lutego 1946 — dla 42 ochotniczek i taki sam kurs od czerwca 1946 dla 20 ochotniczek. — Kompania P.S.K. przy Szpitalu Wojen. nr. 3 zorganizowała od lutego do czerwca 1945 kurs z zakresu I gimnazjalnej. Następny kurs uruchomiono w grudniu 1945 z zakresu I i II kl. gimnazjum. — Kompania P.S.K. przy Szpit. Wojen. nr. 5 przeprowadziła w roku 1946 siedmioletni kurs w zakresie 7 klas dla 43 ochotniczek, oraz siedmimiesięczny kurs szkoły powszechnej zakończony egzaminem i

rozdaniem świadectw. — Kompania P.S.K. przy Szpit. Wojen. nr. 7 organizowała doszkolenie na poziomie I kl. gimn. — Pluton P.S.K. przy C.W.A. prowadził kurs języka polskiego jednomiesięczny (1946) dla 7 ochotniczek z Francji. — 17 Komp. Zapasowa P.S.K. przeszkoliła w zakresie szkoły powszechnej w lutym i w marcu 1945 — 28 ochotniczek, córek emigrantów przedwojennych z Francji.

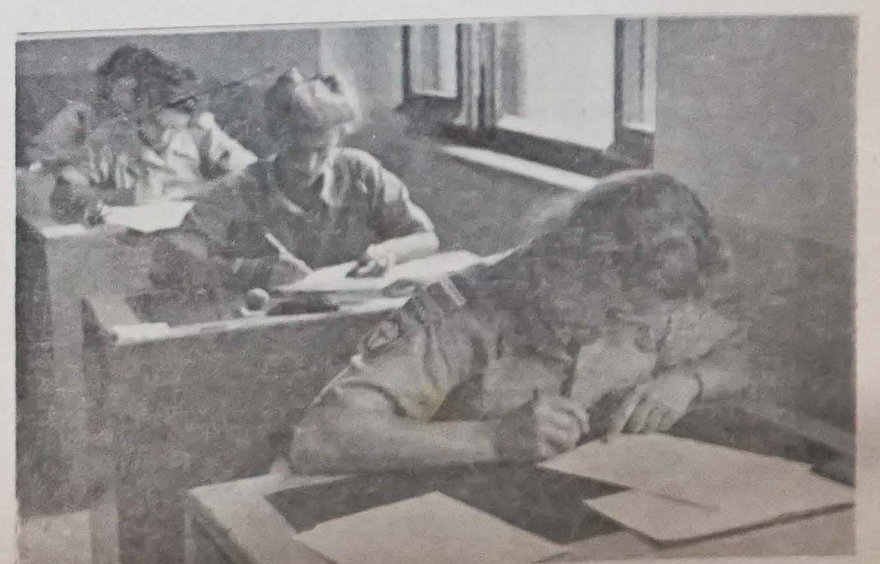
PRZESZKOLENIE IDEOWO-WYCHOWAWCZE

W związku z sytuacją, w jakiej się znajdują obecnie 2. Korpus, Inspektorat P.S.K. zorganizował dla oficerów i podchorążych P.S.K. kurs, na którym zaproszeni prelegenci omówili następujące zagadnienia: nasze zadania na emigracji; praca ideowo-wychowawcza żołnierzy 2. Korpusu na terenie Wielkiej Brytanii; sprawa polska w polityce międzynarodowej; sytuacja w Polsce; oblicze społeczno-ideowe społeczeństwa w Kraju; rola kultury w wychowaniu i t.d.

UNIERSYTETY

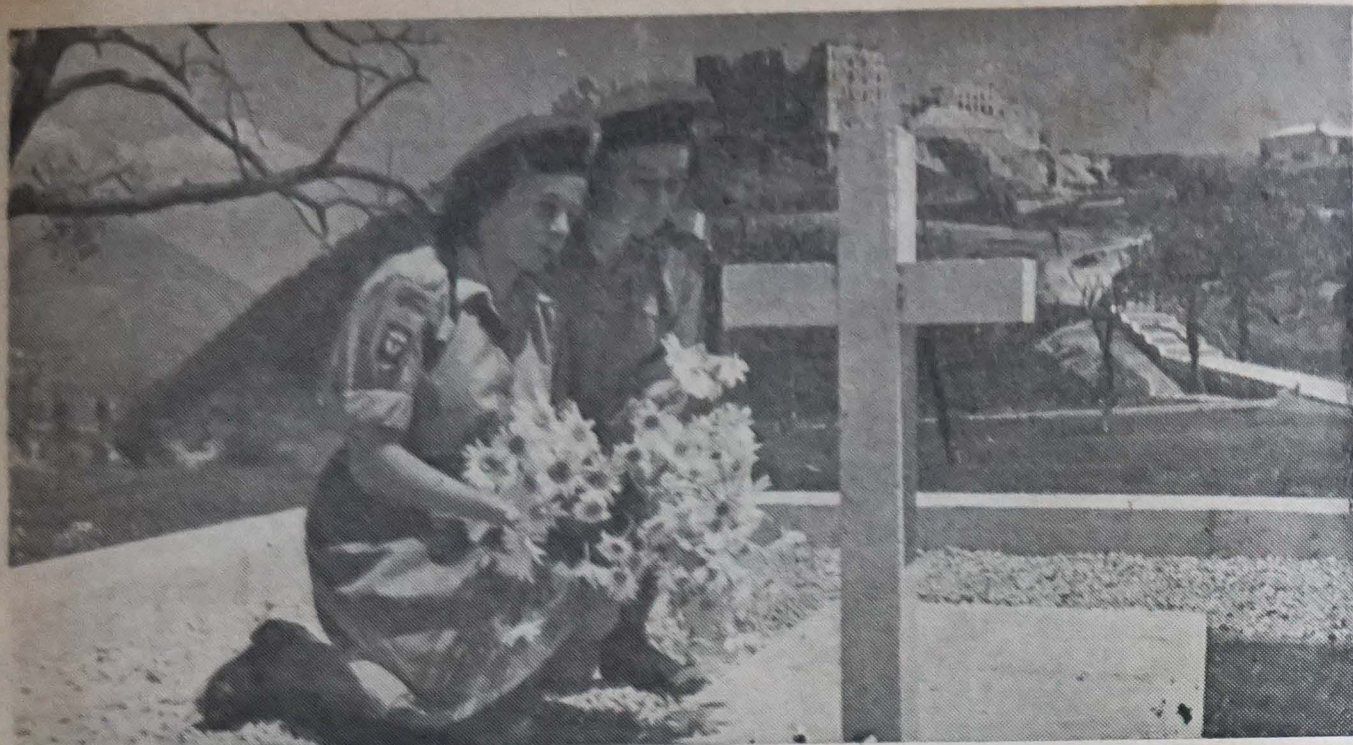
Duży wysiłek włożono w umożliwienie ochotniczkom P.S.K. kontynuowania, przerwanych na skutek wojny studiów wyższych, względnie rozpoczęcia ich na uniwersytetach włoskich: Rzymie i w Bolonii.

Ochotniczki, odkomenderowane na wyższe studia, zostały zorganizowane w dwa plutony: Rzym i Bolonia. Pluton Rzym liczy 49 studentek, z tych 13 studiuje humanistykę, 13 — ekonomię, 9 — nauki matematyczno-przyrodnicze, 7 — architekturę, 3 — medycynę, 2 —



Fot. Hryskiewicz

W klasie Gimnazjum i Liceum P. S. K. w S. Giorgio



Pożegnanie z tymi, którzy zostali

Fot. I.ola R.

prawo, 2 — malarstwo. W Bolonii studiuje 43 studentki, 26 — medycynę, 12 — farmację, 2 — rolnictwo, 1 — weterynarię, 2 — stomatologię.

Pomimo, iż studentki zaczęły dopiero pracować w marcu br. zdawały już w letniej sesji poważną ilość egzaminów, z ogólnym bardzo dobrym wynikiem. Część studentek przygotowuje się teraz do sesji październikowej, aby jeszcze przed wyjazdem do Anglii zdać szereg egzaminów.

Stosunek profesorów na wyższych uczelniach włoskich do naszych studentów jest przychylny, a odnośnie się koleżgów włoskich serdeczny.

Szkolenie P.S.K. na terenie Włoch po zakończeniu działań wojennych odbywało się

w trzech kierunkach: 1) nauka specjalności przydatnej w służbie wojskowej, 2) wykształcenie ogólne w zakresie szkoły powszechnej, średniej i wyższej, 3) przygotowanie do zawodów cywilnych z punktu widzenia zarobkowania oraz nabywania umiejętności potrzebnych kobiecie w życiu domowym.

Należy podkreślić, że realizacja każdego z wyżej wymienionych kursów napotykała na różnorodne trudności, które trzeba było pokonać. Przede wszystkim były trudności w odkomenderowaniu ochotniczek z zajmowanych przez nie stanowisk, tym bardziej, że często z powodu braku ludzi nie można było dać zastępstwa. Brak sprzętu jak np. maszyn do pisania i maszyn do szycia łączył się z trudnościami w znalezieniu instruktorów i wykładowców. Stąd też wiele z projektowanych kur-

sów nie doszło do skutku lub terminy ich otwarcia ulegały znacznemu opóźnieniu.

Jeżeli kursy, organizowane w ramach oddziałów P.S.K. po zajęciach służbowych, wymagały ze strony uczennic i wykładowców zapału i wytrwałości, to kursy specjalne i ogólnokształcące nie mniej oprócz się musiały o zapał i zrozumienie płynących z nauki korzyści. Dowódcztwo 2. Korpusu, Oddział Wyszkolenia, Wydział Oświaty i Inspektorat P.S.K. dokładali wszystkim starań, aby młodzież P.S.K. i ta, która przybywała z A.K., uzupełniła brak wyników z ciężkich warunków wojenno-politycznych Polski. To, co się dokonało w zakresie kształcenia ogólnego i fachowego, jest więc niewątpliwym dorobkiem osiągniętym w ramach 2. Korpusu.

BIBLIOGRAFIA DROKÓW POLSKICH WE WŁOSZACH

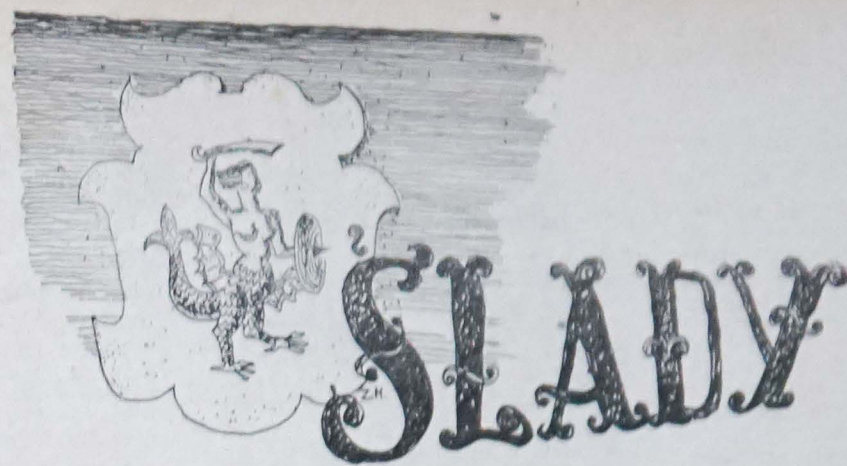
Przed opuszczeniem przez 2. Korpus ziemii włoskiej skompletowana musi zostać wyczerpująca bibliografia druków polskich we Włoszech, będąca dalszym ciągiem i uzupełnieniem takiejże „Bibliografii”, wydanej w „Bibliotece Orła Białego”.

Wszyscy wydawcy oraz osoby prywatne, którym na sercu leży opracowanie bibliografii, powinni przysłać do końca sierpnia br. egzemplarze druków lub dokładny ich opis bibliograficzny, mianowicie: a) druków polskich, b) autorów Polaków, c) wydanych przez instytucje, firmy i osoby prywatne polskie, d) druków obcych, dotyczących się Polski lub tłumaczeń z literatury polskiej — wydanych w czasie od 1.9.1939 — 31.8.1946, uwzględniając braki w wydanej „Bibliografii” druków polskich we Włoszech. Bibliografia obejmuje druki typograficzne i powielane, nie uwzględnia zaś ręcznych gazetek ściennych, ulotek, reklam i programów.

Na opis bibliograficzny składają się: imię i nazwisko autora, dokładny tytuł i podtytuły druku, miejsce, data i rok wydania, nakładca i wydawca, ilość stron, ilustracje, rysunki, opis okładki, autor okładki, ilustracji względnie opracowania graficznego, wkładki, załączniki, druk typograficzny czy powielacz, ewent. które wydanie i nazwisko tłumacza. Przy czasopiśmie podać należy tytuł i podtytuł pisma, wydawcę, datę pierwszego i ostatniego numeru, ogólna ilość nrów, druk typ. czy powielacz, przeciętna ilość stron, typ ilustracji, nazwisko redaktora.

„Bibliografia druków polskich we Włoszech” pozostanie historyczną pamiątką naszej pracy, ambicją więc zbiorowa powinna być jej dokładność.

Informacje bibliograficzne oraz poprawki i uzupełnienia wydanej części I przysłać proszę na adres: Jan Bielatorowicz, „Orzeł Biały”, Pol. Fore. CMP 62



... A w nocy chodzę po Warszawie.

Staję na rogu Nowego Świata i Placu Trzech Krzyży i schodzę w dół ulicą Książęcą. Dlaczego jest tak nie bardzo wiem ale widocznie i sny mają swoje drogi.

Jakie to szczęście wrócić do Warszawy! To nieprawda, że jest zburzona, że nie istnieje. Nieprawda. Jest cicha, wilgotna noc i na mokrym asfalcie błyszczą tramwajowe szyny. Księżycą nie widać, ale musi gdzieś być napewno. Inaczej nie lśniłyby ani szyny, ani szyby kamienic.

Nie mogę uwierzyć, że idę ulicą Książęcą, ale przecież tak jest. Czuję na wargach powiew wiatru i słyszę szum drzew w parku szpitalnym. Zaraz dojdę do tego placu, gdzie jest budynek Z.U.S.'u, a potem skrucę w ulicę Ludną i znajdę się w znajomym domu.

Dudnią moje kroki i jestem jedynym przechodniem. Nie ma nikogo na ulicy — nawet dorożki, nawet psa. Która to może być godzina i dlaczego idę tak długo? Nie ma końca, nie ma końca ulicy Książęcej, ani parku ogrodu szpitalnego. To naprawdę bardzo długa ulica i placu też nie widać. Domy wyglądają krzywo i dziwnie, jak w dekoracjach teatralnych, jak w dekoracjach teatralnych świecą się gazowe latarnie, trochę takie jak dla pijaków.

Znajomy dom wygląda też nieco inaczej, ale nie wiem, na czym polega różnica. I schody też są inne, ale ja pewnie nie bardzo pamiętam jakie były. Bo już parę lat minęło od tego czasu. Ale drzwi są, tylko tabliczki na nich nie ma. I dzwonek nie dzwoni. A pukać nie będę...

Nie będę pukać, bo już wiem, że nikt mi nie otworzy. Nie mogę sobie wytłumaczyć skąd ta pewność. Nie będę pukać, bo możnaby drzwi rozwalić, a nikt nie otworzy. Czy może ś.p.a. Nie. Nie ma tam nikogo. Skąd ta pewność, nie wiem, i gdzie się oni podzieli — nie wiem, ale od chwili, gdy stoje przed drzwiami, czuję, że tam... w głębi jest pustka.

I nie zdaję sobie sprawy, kiedy schodzę ze schodów i znów błądzą, błądzą: bez związku po tych ulicach, gdzie bliżej mokra jezdnia i gdzie szukam znajomych drzwi, do których możnaby zadzwonić.

Pisali mi kiedyś, że mieszkają gdzie indziej. Ale nie mogę sobie przypomnieć nowego adresu. Może poszukam w książce telefonicznej. Tylko gdzie znaleźć taką książkę? Sklepów nie ma na ulicy Ludnej, trzeba iść znów w górę — ale Ludnej, trzeba iść do przyczodź. Zatem razem łeżę mi to przychodzi. Zatem razem łeżę mi to przychodzi. Zatem razem łeżę mi to przychodzi. Zatem razem łeżę mi to przychodzi.

Ulica Mazowiecka — to ulica snobów. Chodzą po niej w niedzielę krokrem wolnym i odmierzonym, obnosząc nby to odmięte nbielne i snobistyczne ubrania. Stawiają nogi palcami do środka

i sztywno w kolanie, mają wzrok ułkowy w przestęzi i z namaszczaniem uchylają kapelusza na widok innych snobów. Wstępują do modnej kawiarni — na chwilę — i rozjeżdżają się zwycięsko dokoła, przysiadają się do znajomych stolików. W ścisłym gronie oczywiście. Między swoimi, którzy jak samo chodzą, tak samo się noszą...

Podciągnąwszy zaprasowane spodnie i założywszy nogę na nogę, siedzą i słuchają czarną kawę, i tak w przyciszonym gwarze przyjemnych ploteczek mijają im przedpotudnie. Snob wraca do domu. Po obiedzie przenosi się bardziej w centrum miasta i przy dźwiękach jazzu stawia znów nogi palcami do środka, tylko, że szybciej, szybciej, do taktu.

Czy pamiętasz, snobie, ulicę Mazowiecką? Oto cię widzę: stoisz na straży. Jesteś jedynym przechodniem, jedyną istotą, którą spotykam. Wiem, że jestem czymś, bezcielesnym. Może jestem bosu i w koszuli. Nie wiem. Może mi zimno i wilgotno... Nie wiem. I nie wiem też, jak ty jesteś ubrany, snobie warszawski. Masz kapelusz wciągnięty na czoło i twarzy twojej nie widać. Może nie masz twarzy, ale to nie ważne. Idę za tobą ulicą Mazowiecką i oboje stawiamy nogi w takt naszych wspomnień.

Może wstąpimy do tego sklepu? Wiesz chęć odnaleźć przyjaciół... Dawno mi nie tu było. Pozmieniłi adresy, pozmieniłi telefony. W książce telefonicznej może odnajdę ich adresy... Ten sklep jest mi jakoś znajomy. Ale nie ma w nim nikogo. To nie. Oto książka telefoniczna. Pozwól, że do niej zajrzę.

Tysiąc wierszy, szarych, równo drukowanych. Po co czytać — i tak nie znajdy. Nie odchodź ode mnie, snobie. Samej dziwnie chodzić po ulicy... Powiedz, czy znałeś Macieja? Gdzie on mieszka? Co zmieniło, ale to nieprawda. Tak, jak nieprawdą jest, że Warszawy już nie ma.

Cheć znaleźć nowy adres Macieja. A może łatwiej znajdy Krystynę? Czy wiadziałeś Krystynę? Była kaskarka we „Fragacie”. To nieprawda, że leży gdzieś na wsi pod drewnianym krzyżem, jak nieprawdą jest, że nie ma Warszawy i Macieja. Trzeba tylko znaleźć ich adres i telefon. Prędko, prędko! Zrobisz im niespodziankę, gdy zadzwonisz. Bardzo się ucieszą, prawda?

Beznadziejną historią z tymi sklepami, w których nikogo nie ma i z tymi ulicami, po których nawet tramwaj nie jeździ. Gdzie są nasze tramwaje, snobie z Mazowieckiej ulicy? Pamiętasz — takie piękne tramwaje, czerwone, z durnym azybam. „Trójka” — z Zioborzą na Rakowiecką. Cheć koniecznie zobaczyć taką tramwaj, lub choćby tylko autobus. O tu, przez Mazowiecką chodzą te nowiutkie autobusy. Stafury z boku i poczekać.

Mijający jesteś, snobie warszawski, i niezapawny. Nie nie mówisz. Zatożę się, że i ty zachorował na romatyzm i poszedłeś na barykadę. Czy pamiętasz rok trzydziesty dziewięć — jak drażniło cię, że w Ziemankie czy też w Café Clubie pełno było uchodźców z ubranymi, pospolitymi, takich, którzy się wzięli nie wiadomo skąd.

Tak... wygląda na to, że... i ty poszedłeś na barykadę. Na barykadę. Jak to brzmi patetycznie. No i co? A może zginął? Może już Ciebie nie ma? Może i ty jesteś bezcielesnym duchem, która szuka śladów w tej cichej, wilgotnej noc, wśród tych domów z zamkniętymi bramami, ze ślepych azybami. Wśród tych latarni, które się nie palą, dzwonek, które nie dzwonią. Wśród tych drzwi, na których nie ma ani jednej tabliczki z nazwiskiem tych, którzy tam być powinni.

Pamiętam taką cichą noc, ale wtedy było inaczej. Była to mroźna noc zimowa pierwszego roku okupacji niemieckiej i w Alejach Ujazdowskich było dużo, dużo śniegu, takiego białego i puszystego. Śnieg wtedy padał i padał, a mało kto sprzątał ulice, bo za wiele rzeczy się zmieniło. Narastał więc śnieg i gdyby nie miłeżące i wyniosłe domy po jednej stronie ulicy, można było mieć złudzenie, że jest się gdzieś na wsi. Na ulicy było pusto, pustą zupełnie, bramy były zawarte i szyny lśniły zimnym blaskiem mroźnej nocy zimowej. A kroki nie dudniły, lecz gubiły się w białej ciszy. Domy były ciemne, ale coś w nich tętniło, coś dyszało.

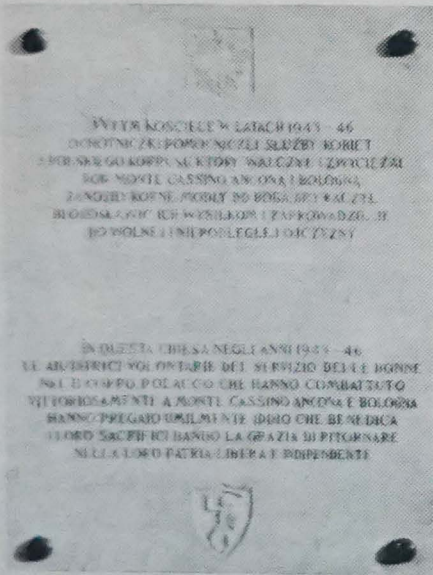
Miało się wrażenie, że tam, z tymi ścianami, nasłuchuje tysiące uszu i tyśsiacie piersi wstrzymuje oddech. I wyciągnęłyby jeden krzyk, jeden mój krzyk aby z traskiem rozwarły się zamknięte bramy i okna, aby wybiegli z nich oni wszyscy z nieprzytomnymi oczami, z podniesionymi rękami, oszaleli z radości, śmiechmi i wotni.

Nie. Nig można było krzyknąć. No i co? Można było tylko przesiadać w myślach pozdrowienie Maciejom i Krystynom, którzy nie wiadomo gdzie mieszkają, znaleźć ich nie można. Nawet śladu nie

TABLICA PAMIĄTKOWA NA KOŚCIELE S. ANIMI W PORTO S. GIORGIO

W dniu 4 sierpnia br. nastąpiło odsłonięcie pamiątkowej tablicy na kościele S. Animi (Świętego Ducha) w Porto S. Giorgio. Tablicę ufundowały ochotniczki P.S.K. i uczennice Gimnazjum i Liceum P.S.K. w S. Giorgia na pamiątkę pobytu w tej miejscowości. Na tablicy umieszczono u góry godło Polski, poniżej tekstem polskim i włoskim — krzyż jerozolimski, na dole tarce z syrena.

Napis w obu językach następujący:



W TYM KOŚCIELE W LATACH 1945 — 46
 OCHOTNICZKI POMOCNICZEJ SŁUŻBY KOBIEI
 2 POLSKIEGO KORPUSU, KTÓRY WALCZYŁ I ZWYCIĘZAŁ
 POD MONTE CASSINO, ANCONĄ I BOLOGNIĄ
 ZANOSIŁY KORNE MÓDLY DO BOGA, ABY RACZYŁ
 BŁOGOSŁAWIĆ ICH WYSIŁKOM I ZAPROWADZIŁ JE
 DO WOLNEJ I NIEPODLEGŁEJ OJCZYZNY

IN QUESTA CHIESA NEGLI ANNI 1945 — 46
 LE AIUTATRICI VOLONTARIE DEL SERVIZIO DELLE DONNE
 NEL II CORPO POLACCO CHE HANNO COMBATTUTO
 VITTORIOSAMENTE A MONTE CASSINO ANCONA E BOLOGNA
 HANNO PREGATO UMILMENTE IDIO CHE BENEDICA
 I LORO SACRIFICI DANDO LA GRAZIA DI RITORNARE
 NELLA LORO PATRIA LIBERA E INDIPENDENTE.

ma — ani adresu, ani telefonu, ani mi
kogo kto by mi coś o nich powiedział.

Oblana błękitem morza wznosi się
wyspa Capri. W dole na piaszczystej
plaży wylęgają się brzechwate barki i ry-
bacy naprawiają sieci. Tak, jak na He-
lu. A potem dróżka z tysiąca schodków
prowadzi w górę. Z boku zwisają glicy-
nie i rosną napeczniałe od wody agawy.
A gdy deszcz pada, woda splywa po stop-
niach jak górski strumień. Domy są
bielone wapnem i takie — rzeczywiście.
Na górze zaś w miasteczku jest rynek,
gdzie od setek lat grzeją się na słońcu
dzieci i koty. Nikt im w tym nie przeska-
dza. I jest katedra, której nikt nie
zburzył ani nie spalil. Dzieci mają wu-
jów i ciotki, procy własnych rodziców,
a potem dorastają i żenią się w białej
katedrze. Nikt im w tym nie przeska-
dza. I glicynie puszczają nowe pędy.
Każdą roku bielą się wapnem białe
dunki bo taka jest tradycja na wyspie
Capri, może jeszcze od czasu, kiedy ce-
sarz Tyberiusz wybrał sobie to miejsce
na wieczny odpoczynek po cesarskich
trudach.

Mysleliśmy o wyspie Capri w trzydzi-
stym dziewiątym roku. Mysleliśmy o



Rys. Z. M.

ZACZAROWANY FORTEPIAN

Pianista poprawił mankiety koszuli
wychodząc z czarnych rękawów fraka,
po czym podniósł ręce i tak je zatrzymał
na krótką chwilę nad klawiaturą. Na sa-
li zapanowała zupełna cisza, bo wiado-
mo było, że pianista słynny, choć mło-
dy, nerwowy jest i wrażliwy.

Teatr był owalny i to też należało do
rzeczy wyjątkowych. Są bowiem teatry
prostokątne, trapezoidalne, półkolisty a
nawet okrągły, jak ostatnio projektował
wielki architekt Walter Gropius — ale ten
teatr był owalny i scena znajdowała się
po szerszej stronie elipsy. Co wieczór
recytowało się tu Shawa, O'Neill, A.
Wildera, Pagnola i tylu innych. Co wie-
czór schodziła się doborowa publiczność
stolicy i zasiadała w fotelach obitych ma-
teriałem koloru truskawkowego. Tego wie-
czoru był koncert.

Pianista jeszcze trzymał ręce zawie-
szone nad klawiaturą, ale nikt nawet nie
westchnął. Może była w tym lekka przesy-
xada, może można było już zacząć — ale
jeśli on tak sobie życzył — to trudno...
Widomo było, że już jest bardzo słynny
choć taki młody i tę odrobinę pozy
można mu było łatwo wybaczyc. Tu, w
jego kraju.

Powietrze było przesycone złocistą
mgłą niewidocznych świateł i oczekiwa-
niem. Ręce pianisty, białe i silne, na-
głym, kocim ruchem opadły na klawisze
i pierwsze akordy wtargnęły rozdzwień-
czane i drgające w tę naprężoną ciszę.
Rozlały się czyste jak łza, mocne i po-
ważne. Pierwsze akordy Fugi Jana Seba-
stiana Bacha.

Dopiero teraz wszyscy poprawili się w
fotelach, wyciągnęli stopy przywarły
w oczekiwaniu do podłogi, rozwarli
palcami zaciśnięte w oczekiwaniu na po-
ręczach. Poprzekładali nogi z lewej na
prawą i z prawej na lewą. Po czym roz-
luźnili grzbiety stwardniałe w napięciu
i oparli je wygodnie o truskawkowe

poduszki. Błyszczały w złocistym pół-
mroku dziesiątki tysią, okularów i bi-
nokli, bieleły białe kołnierzyki i kra-
waty, falowały różnobarwne kapelusze
otulone mgiełką piór i woalek. Lśniły
setki oczu czarnych, szarych i niebie-
skich. Oczu utkwionych w jeden tylko
punkt. A raczej w dwa: ręce pianisty
biegające po klawiaturze.

Potężna i harmonijna jak sama har-
monia — jest Fuga Bacha. Pianista
grał i palce jego były jak akordy. Nie
chybiły celu, nie zawadziły ani razu
o zbyteczny klawisz, bo uderzały w sam
środek, właśnie w to jedyne i naj-
właściwsze miejsce właściwego uderze-
nia. Nie grał ani za gorąco, ani za
zimno. Całe jego silne ciało płonęło
ogniem melodii, muskuły przeżyły się
a na czole pod zwichrzonymi włosami
ukazały się kropelki potu. Ale palce
były królewskie i niezależne. Precy-
zyjne, jak maszyna, w technice wyko-
nania, obrysowywały, wycieniowały
każdy dźwięk starannie i bezbłędnie.
I choć zimne w dokładności, gdy już
uderzenie miało nastąpić w to wybrane
i niefomylnie miejsce, zatrzymywały się
na setny ułamek sekundy, aby rozma-
cić swój zwolnic i userdecznic.

Pianista grał, a melodia dźwięczała,
jak anielskie chóry przy akompania-
mencie organów. Pojem anielskie chóry
zamilkły lecz organy grały jeszcze.
Gdzie one się ukryły? Niektórzy szukali
ich wzrokiem, ale nie znaleźli...

Dopiero później stało się zrozumiałe,
że to fortepian zmienił się jakby w
organ, które grały jeszcze i wtedy,
gdy pianista wstał i składał głęboki
ukłon widowni. Był naprawdę bardzo
młody. Nie miał długich włosów, jak
większość artystów, ani omdłałości w
ruchach. Nie był też wąty, jak piszą
w romansach o niektórych wielkich
pianistach, tylko bardzo biały i bardzo
poważny. Nad ustami czernił mu się

tytu, że świeci tam słońce i można cho-
dzić po ulicy bez obawy. To było tak
daleko i gdzieś wśród wody i chmur. A
w nocy można tam było napewno dobrze
spać wśród cichego plusku fal. Bo u nas
w nocy było jasno od ognia i powietrze
pękało od huków, a dzień był czarny od
dymu. Ludzie z materacami na plecach
biegli w jedną stronę i spotykali innych,
takich samych wystraszone i bied-
nych, biegnących w stronę przeciwną.
Też z materacami. I męczyło mnie py-
tanie, czy materac jest rzeczą najwa-
żniejszą...

Wydawało nam się, że to był sen, że
się zaraz obudzimy i że będzie tak, jak
dawniej. A gdy okazało się, że to praw-
da, myśleliśmy tylko, że i to minie, a
potem będzie znów — jak dawiej.

To nieprawda, że Warszawy już nie
ma, ale ja chcę się już obudzić. Bo po
to tu wróciłam, aby odnaleźć przyja-
ciół i znajomych. I szukam ich, i szu-
kam, ale nawet śladów nie ma. Wiem,
że pozostawiał adresy i telefony, ale nikt
mi nie powiedział, że i ślady za sobą
zatarli...

ZYTA MAZZA

mały wąsik, oczy miał wąskie i długie
pod łwim czotem, bary szerokie, a ru-
chy zwinne jak kot. Nie uśmiechnął
się, mimo oklasków. Usiadł z powro-
tem i od razu uderzył pierwsze akordy
marsza żałobnego Chopina.

Jakże trudno znaleźć cudzoziemca,
który umiałby wyczuć Chopina. Wszys-
cy go grają. Ale wielki Cortot w pary-
skim przewrażliwieniu otacza go mitem
stałości i zbytniego marzycielstwa.
A wielki Backhaus szuka Beethovenow-
skiej równowagi i Wagnerowskich
trąb. A wielki Gieseking — tak, ten gra
go chyba naprawdę dobrze... A wielki
Hoffman?...

Młody pianista kochał Chopina.
I dlatego na pierwszy ogień tego wie-
czoru wybrał ten żałobny fragment.
Odtworzył go z niemiecką dokładno-
ścią, z francuską subtelnosciami i z ścią
hiszpańskim, bałwochwalczym, rozpęta-
nym uczuciem. Może trudno było
doszukać się polskości, ale gdyby Cho-
pin żył, kto wie, czy nie powiedziałby:

— Mój drogi, to właściwie nie zupeł-
nie jak ja myślałem, ale hm... i tak mi
się podoba. Każdy może mieć swoje
podejście do rzeczy, byleby tylko nie
było mylnego założenia.

To był inny marsz. Warczały bębny
miarowo i głucho. Warczały uporczy-
wie w rosnącym natężeniu bo nie mo-
gły wybuchnąć mocno i gwałtownie.
Więc warkot był przyczajony, jak ryś
gotujący się do skoku. A te dwie nuty,
te dwie nuty, które powtarzają się w
pierwszej części, wyrażały miarowo
i poważnie jedno i to samo. Potem coś
się nagle zerwało i, pękło. Rozleciały się
nie smutny. Beznadziejnie. Należało
organów ani chórów anielskich, które do-
może skrzypce najpiękniejsze na świecie,
cię i smyczek w natchnionych rękach
artysty. Gdzie ukryty się skrzypiec?...

I znowu pobiegły ukradkiem spojzenia
gdzieś pod strop, ale skrzypiec nie
znalazły. A z głębi czarnego fortepianu
już znów zawarowały bębny.

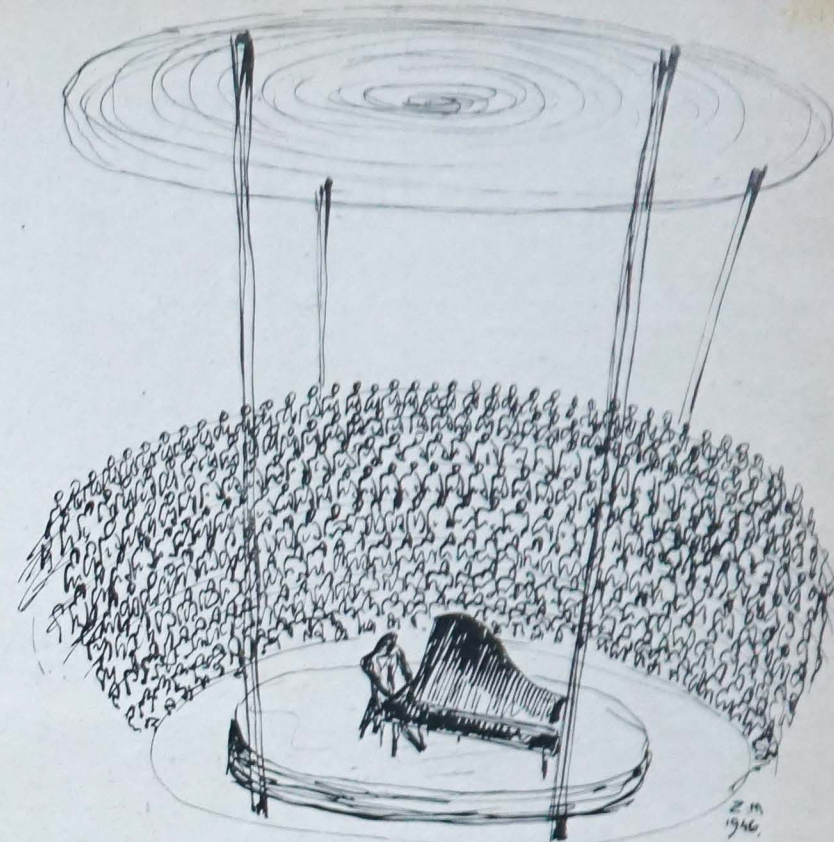
Pianista grał z głową spuszczoną, a
palce zakrzywiły mu się, jak szpony.
Uderzał w klawisze dziwne namiętne,
prawie że drapieźnie. Plecy mu się
zgarbiły a kosmyk włosów opadł na
zmarszczone łwie czoło. Bębny wo-
warowały. W pierwszym rzędzie sie-
działa Pani czarnowłosa, o wpadnię-
tych, płonących kastylijskich oczach.
Obok niej dziewczynka piętnastoletnia
w błękitnym sweterku. Uroczą. Miała
kapryśnię zgięte brwi i oczy jak
gwiazdy. Chwyliła matkę za rękę i po-
chyliła się naprzód, zapatrzona w for-
tepian. Obok szpakowały pan we fraku,
z twarzą dyplomaty z jakiegoś stanu
Południowej Ameryki, zeszywniał na
fotelu. Program wypadł mu z ręki.
Bębny warczały.

Znów przywarły stopy do podłogi i
zacisnęły się dłonie na poręczach. Setki
zahypnotyzowanych jakby oczu, wbi-
tych w czarny fortepian. A bęben war-
czy miarowo... Potem znów coś pęka
i znów smyczek zawodzi po niewidzial-
nych strunach.

To był inny marsz. Ale zanim prze-
brzmiwały ostatnie jego dźwięki, już roz-
szalała się Etiuda Rewolucyjna i wypeł-
niła salę łomotem sztandarów, tętaniem
kopyt, hukami strażaków. Coś jęczało i
dudniło. Czterech Jeźdźców Apokalipsy
przewalało się pod powłoką. Pani o ka-
stylijskich oczach przygryzła wargi.
Dziewczynka pochyliła się bardziej do
przodu. Program wciąż leżał na ziemi.

Pianista skończył, lecz zanim zerwały
się pierwsze rzęsiste oklaski, znów
przywarł do fortepianu łopczywie jak
opętaniec. Spod białych palców wzle-
ciał lekki, przeźroczysty walc. Walec
Chopina. Zawirował nad zastuchanymi
głowami i sypnął im z góry tęczyowy
pył. Opuścili się powieki na wyteżone
oczy, ręce podparły pulsujące skronie.
Jak zwicznie i bezselestnie biegnie walc
po sali między fotelami i sennie kołysze
serca do taktu. — Panie proszę panów,
panie na lewo, panowie na prawo, pa-
nowie dziękują. — A ten wysoki pan we
fraku? — on kaszle, on napewno ma su-
choty, on może umrze... Ale to nic. On
i tak będzie żył, bo ten zwiewny, pogaf-
ski walc On napisał i zawsze, gdy ktoś
go potrafi zagrać, przychodzi i uśmiecha
się do swej tęsknoty. Ten pan — to Chopin.
To on gra... Czy pan widzi...?

Skończył się walc, ale nikt nie klasz-
cze. Nie ma czasu aby podnieść ręce,
brak też siły. Nie można oderwać oczu
od czarnego, lśniącego potwora na
estrady. To czary, a ten biały muzyk
to czarodziej. Lekki uśmiech rozciąga
jego blade wargi, a ręce chciwie kładą
się na klawisze. W głębi fortepianu jest
harka zaklęta, która umie odtworzyć
plusk wody, szum wodospadu i płynność
piasku w przestrzeni. Palce ślizgają się
po wyszczerzonych zębach potwo-
ra — tych białych i tych czarnych.
Gładny pył migocze w powietrzu, bija
dźwięki zatopionej katedry, mgliste po-
stacie tańczą taniec wiecki i tańce



Rys. Z. M.

duchowny. Pianista nacisnął pedał i
uderza raz, potem drugi, potem trzeci
— potem odrywa palce i słucha. Słu-
chają wszyscy. Forte pian sam gra. For-
te pian został zaczarowany.

I kiedy ostatni dźwięk rozplynął się
gdzieś pod złocistym stropem teatru,
skoczył się Debussy. Nikt nie był
brawa — pianista sobie nie życzy...
A zresztą to czary. To czarna magia. Kto
słyszał, żeby fortepian sam grał?..
Może byłoby lepiej uciekać... Bo zmie-
nia się wszyscy w kamienne posagi na
skamieniałych fotelach...

Jak szybko bije serce w takt Navarra
Albeniza. Jak szybko biegną białe dło-
nie artysty. Przepraszam, kiedy to na-
tożył on sobie kastaniety? Nie ma ka-
stanietów? To nieprawda. Muszą być
proszę pana, proszę nie stukać obcasami
w podłogę, to nie balet. To koncert,
proszę pana... to koncert. To cyrk, proszę
pana. To buda cygańska, gdzie fałszy-
wany Hindus czaruje szczyry ludzkie
dźwiękiem piszczałki.

Pani o kastylijskich oczach ma roz-
dętą nozdrza. Ręka nerwowo ścisną
chusteczkę z kastylijskiej koronki... Pan
sięgnął po program. Ileż jeszcze tych
diabelskich tańców? Malaguena, Se-
guidillas, Seguidillas. Seguidillas!
Boże, jakże to męczące wytańczyć tyle
tańców hiszpańskich... Proszę pani, czy
pani nie ma wachlarza. Ach, czemu? To
pani nie ma wachlarza. Ach, czemu? To
przecież konieczne... Takie kastylijskie
oczy bez wachlarza...

Już tańczy cały teatr. Każdy ma ka-
staniety na rękach, każdy stukota obca-
sami w takt opętany i diabelski. Pja-
nista dyryguje z estrady. Będzie się tak
tańczyło dopóki on będzie chciał, może
dopóki nie padnie się trupem. A po-
wietrze nie jest już złociste, ale purpu-
rowe jak krew... Ach, dość już, dość
bo zmienimy się w szaleńców, jak ci,
którzy modlą się tańcząc... Bo się zmie-
nimy w tłum szalonych dźwięków...

I nikt nie wiedział, kiedy się skoń-
czyło. Forte pian stał czarny i lśniący
na estradzie, a pianista obok zgłębny w
niskim ukłonie. Był bardzo biały, ale
i bardzo poważny. Za poważny na to,
aby być zwykłym magiem. A jednak...
rozpoczął od fortepianu i zaczarował
wszystkich na salę. Panią o kastylijs-
kich oczach, dziewczynkę o kapryś-
nych brwiach, dyplomata z Południowej
Ameryki i... mnie.

Z. M.

NOWE KSIĄŻKI

W „Bibliotece Orta Białego” ukazały
się ostatnio następujące książki: *Hermi-
nii Naglerowej* — „Krauzowie i inni”,
nowe wydanie 8 tomowej powieści: *Jana
Bielatowicza* „Przypływ” zbiór wierszy
poetów: *Przytułkiego* *Sułkowski*,
Soułkowski *Radzimiński* i in.; *Mar-
ty Rudzkiej* — „W domu niewoli”,
wspomnienia z więzień, łagrów i kolcho-
zów w ZSRR.

„Instytut Literacki” wydał zbiór
opowiadań *Stanisławy Kuszelewskiej* z
ruchu podziemnego i Powstania Warszaw-
skiego, pt. „Kobiety”.

„Polski Dom Wydawniczy” — dał no-
we wydanie „Szczęśliwych lat” *Melchiora
Wąkrowicza*.

W ZATOCE I NA WYSPIE

Podłoga była z majolikowych kafelków i taki sam próg. Na progu właśnie przysiadła myszka.

— Taka jest jedna w całym domu — uspakajała gospodyni, podnosząc oczy nad kart.

— Nie mam nic przeciw myszom — mówię sennie. Za progiem jest taras, na tarasie nie, a dalej w dół szumi morze, ciemniejsze od nieba, ale równie świecące gwiazdami. To rybacy palą lampki w zatoce. Myszka cichutko znikła, od stołu poprzecz próg wypatrzył w ciemności o wiele bardziej niepokojących mnie nietoperzy. Smigają bezszelestnie około palmy i drzewa orzechowego. A ponad palmę wbił się ostry sierp nowiu. Żeby było klasycznie. Żeby już było do syta.

— Dobrze spojrzę pani na księżyc — cieszy się Włoszka. — Przez prawe ramię. To wróty spełnienia marzeń.

— Nie mam żadnych marzeń.

— Tak odpowiadają ludzie, którzy mają ich za dużo

Udają, że nie ustyszałam. Zauważyła mnie także kabała. Gospodyni tasuje karty, z których nawróciła mi długą podróż (nie trudno, nie trudno...) i przypominam sobie, że pod kremową moskiterą, śnił mi się ubiegłej nocy śnieg.

— Senta, co znaczy, gdy się śni śnieg?

Na majolikowych kafelkach zgrzytnęło odsuwającym krzesłem. Gospodyni zakłóciła się uprzejmie z gotowością osobą, która zwykła spędzać wieczory na samotnej nudzie i pośpieszyła do półki z książkami chybocliwym krokiem kobiet o zbyt tęgich udach. Pod lampę wyjechał prawdziwy sennik egipski w wydaniu włoskim, bardzo starym wydaniu. Na senniku siadały muchy i zostawiły swoje ślady. Na brzegach kartek zezerał kurz w miejscach, kiedy wilgot-

nych od poślionego pola. I jest, jak w kuchni przy ul. Kruczej.

— Więc, co oznacza śnieg?

— „Śnieg — strzał się złego psa”.

O mądrości egipska, która przeczuła tysiące lat wstecz, że ludziom z północy przysięść się może chłodny, nieznaną pod piramidami śnieg.

— Tu jest błąd — mówię — śnieg oznacza tęsknotę.

— To pani też umie wróżyć? — dziwi się Włoszka znad zatoki Salerno.

— Nie... to jest... trochę — ale to przypominam sobie z całą pewnością, że śnieg oznacza tęsknotę.

— Może... — godzi się gospodyni. — W naszym miasteczku nie ma zresztą złych psów.

— A ludzie źli są?

— Nunnie... — przeciąga z zastanowieniem. — Był taki jeden, ale to stara historia.

Zachciało mi się koniecznie tę historię usłyszeć. Wychodzimy na taras, bo do opowiadania o złych ludziach nie potrzebne jest światło skapo żółtej żarówki, a przeciwnie: zła pamięć ma intuicję lunatyka. Sunie po księżycowej nitce...

Ale zawsze taka historia zacząć się musi milczeniem. Włoszka wygładza girlandy bugenwili, przerzucone przez kamienny parapet, jakby poprawiała obrus, czy firankę. Zazdroszczę jej tego stereotypowego odruchu posiadaczki.

— Był jeden taki — zły. Bóg go szybko ukarał i pochłonęło go morze. Mieszkał w górze miasteczka i uprawiał swoją winnicę. Był uparty, tyle o nim wiadano. Wpierał się ze swoją winoroślą coraz wyżej na skały. Ale upór nie jest jeszcze grzechem. Grzech zaczął się, gdy zobaczył młodą żonę notariusza, który mieszkał w tej tam białej willi ponad morzem.

Wychyliła się głęboko poza balustradę tarasu i wskazała grupę domów na lewym skrzydle zatoki, gdzie nie ma już plaży, a prostopadłe ściany skał łączą się z murami budynków. Zielony bluszcz i ta sama, co tu, liliowa bugenwilia spadają kaskadami prawie do morza. — Morze tam jest głębokie, a fala pienista, że i podjechać niełatwo. Dla złodziei nie ma jednak przeszkód — prawda? A jednak trudno się nie dziwić, jak on tam podpłynął, jak uchwycił się bluszczu, do którego jeszcze kilka metrów gołej ściany muchą albo jaszczurką trzeba przeskoczyć, jak się tam na samą górę wdrapał. — Gdy włożył w okno półnoju młodej — notariusza, który może coś przeczuwał i podejrzewał, zepchnął go kijem wprost do morza. Nie można nie wierzyć w sprawiedliwość Boską...

— Senta, Bóg jest miłosierny. Dlaczego zresztą dziewięte przykazanie ma być ważniejsze od piątego?

Ale myśli kabalarci biegły szlakami nietoperzy — nie zrozumiała mnie. Zupełnie nie o propos postanowiłam jechać jutro na Capri.

Ranek jest lekki i pogodny, jak rozwinęty żagiel. Z pasowym kwiatem granatu we włosach, z niedojrzałą morelą w zębach pcham się do autobusu, który powiezie mnie do Sorrento. Z nocnych strachów pozostało tylko postanowienie: jak najprędzej dostać się na Capri. Signora macha chusteczką z balkonu. Wychylam się jeszcze raz przez drzwiczki, przed którymi rude psisko wytrzępuje pchły. Pomagam mu nogą podrapać się za uchem, a jednocześnie kłaniam się signorze i sklepikarce i kilku przemiłym nierobom, którzy dnie całe spędzają na balustradzie przy pompie benzynowej, z widokiem na zatokę, na morze błękitne i miasteczko, zbiegające w dół po karkołomnych schodach od gór zębatach ku kolorowej wodzie. Ach! Życie jest warte życia.

Jak wędrowną laseczką podpieram się w podróży cudzymi wspomnieniami. Stacyczny pan pamięta na przykład czyjaś chifonową sukienkę, którą spryskała fala przed dwudziestu laty przy wjeździe do Lazurowej Groty (rzeczywiście otwór, jak ucho igielne), i że tam, na Capri, tak pięknie pachnie... Chifonowa sukienka już pewno zwiędła w szafie, ale pachnie, to pachnie. Łakomczuch-niedosytek obrywam jeszcze ziobą i liście przydrożną, rozcieram je w palcach i wącham. W ten sposób natrafiałam na gałązkę lawendy. Uniesiona nagłym zapałem oszczędzania, postanowiłam zaparzyć sobie perfum. Ale szukać w zieleni jest trudno, nie pamiętam, gdzie ją zerwałam. Został tylko przemijający zapach na dłoni. Filozofując o rzeczy ludzkich mijaniu, ze smutkiem, jak mgiełka nad morzem, która tu jest nieodstępna od najpogodniejszych dni, docieram do Anacapri. Na rozstaju lilipucich drówek stoi ślepiec w bardzo eleganckiej czapce. W pierwszej chwili nie zauważyłam, że na jej otoczku jest na-

pisane „San Michele”. Podskoczyłam skwapliwie do jego ręki z dziesięciu lirami, bo miło jest wspomagać ślepych, gdy się samemu widzi świat tak piękny. Rozglądam się za domem Axela Munthe. Nagle ślepiec, który na mnie nie zareagował wcale, podbiegł nie mniej żywo, niż poprzednio ja, w kierunku dwóch Anglików, wysiadających z dorożki. Wskazał palcem na swoją czapkę i wówczas zauważyłam napis. — On ma wyrobiony zastępczy zmysł angielski — pomyślałam z wyrzutem, ciągnąc za Anglikami, których prowadził — I jaki głupi, my jesteśmy przecież hojniejsi i czulsi na takie literackie wzruszenia, niż oni.

Córka Rozyny,*) dystygowana dama w czerni, też specjalnie wyróżnia Anglików. Wobec tego mniej słucham jej objaśnień, a więcej przypasowuję San Michele do życia, jakie ja bym prowadziła, gdyby mnie tu wpuścili. Zabawiam się, jak przed wystawą magazynu z sukniami, do którego nie wejść. Ale mgiełka nad morzem osiada coraz gęstszym osadem goryczy i coraz niechętniej oglądam cuda — niewiada tutejszych spraw, przypiętych do skał, jak jaskółcze gniazdo.

*) I ślepiec i Rozyna są postaciami wplecionymi żywcem w „Księgę San Michele”.

— Axel Munthe tego lata przyjedzie do San Michele. — Aha. — Axel Munthe zakupił całą górę jako rezerwat dla przelotnych ptaków. — Aha. — Te aleje cyprysów sudiła moja matka z Axelem Munthe. — Tak mówi kobieta, istniejąca już tylko jako córka Rozyny, bo w ten sposób uplasował ją w życiu wielki Axel Munthe. Jej matka ów rzeczka, która przed chwilą wróciła grzechnie ze szkoły, będzie w dalszym ciągu wnuczką Rozyny i za kilka lat może to ona z powagą poprowadzi zwiedzających, pewna swej autentyczności, jak głowy Tyberiusza. — Tu spożywają słynne psy Axela Munthe — powie. Tu obok wykintnego nagrobka jest ławeczka. Usiadłam na niej, pociągnięta przez odległe przypomnienie, jak przez obcą rękę.

...Jest — proszę państwa — w Wilnie taki rynek Bosackowy, goły i zakurzony, jak święty turecki. Już nie ghetto, a jeszcze ghetto. Na tym ubożuchnym rynku, rozbijało swe budy wędrowne panopticon lub luna-park, sklecony z pięciu bałtawek i karuzeli, albo cyrk. Koło budy cyrkowej zwykły kręcić się dzieci. Różne: chrześcijańskie i żydowskie. Lecz w wieczór szabasowy tylko chrześcijańskie. Mimo to w wieczór szabasowy bywało najrojojniej. Bywało: pod zakurzoną płachtą gra gramofon, a pod

zakurzonym niobem tańczą anemieczne gwiazdy miejskie. Są blade i niepewne, jak świeczki szabasowe z zafrontowych szyb, wpatrzonych tępo w płac. Świeczki, które już dawno pogasły.

To bardzo dawne wspomnienia. I ten mały Zydek, który siedział z książką pod kolorowym lampionem z marszowaną bibułką i mógł być ten, który teraz zupełnie dorosły i może by się z tego wspomnienia sam śmiał, gdyby nie wojna i obozy śmierci.

— Grzechne izraelskie dzieci święcą dzień szabtu — powiedziałam wówczas do niego.

— Ja w to wątpię — odpowiedział, nie podnosząc głowy.

— A co czytasz?

Pokazał mi „Księgę z San Michele”, opieczętąwaną żargonowym napisem żydowskiego gimnazjum.

— To jest piękna książka... powiedział. Gdzie morał? Gdzie pointa? Ach, może ten morał, że zachwył małego dzieciaka więcej mnie przekonał o wielkości Axela Munthe, niż wyjaśnienia pensjonatowej „córki Rozyny”. Zresztą życie obchodzi się zwykle bez pointy. Albo pointa jest, jak nagły strzał z zupełnie bliska, czy może, jak seria karabinu maszynowego do podskakujących ze strachu ludzi...

BARBARA TOPORSKA

MAGAZYN S. P. K. P. W BARLECIE

— Ja... przyszedłem po buty, proszę pana majora — i „kawaler”, stając na baczność, stuka mocno obcasami.

— Jak się nazywasz? Ile masz lat?

— Stanisław K., lat 11, chodzę do 4 kl. szkoły powszechnej w Barlecie. Tatus jest tu także. Pracuje w Osiedlu. Mamusia zmarła w obozie w Mattheusen. Ja też tam byłem dwa lata. Pomagałem tatusiowi kamienie wozic — recytuję chłopiec pośpiesznie.

Pan major bierze plik jakichś papierów i szuka jego nazwiska w liście osób pobierających rzeczy z magazynu. Nagle marszczy czoło.

— Ależ dopiero przed Bożym Narodzeniem pobrałeś buty! Nie można co trzy miesiące ich fasować, bo dla innych zabraknie...

— No tak, panie majorze — ale ja jestem Nurmi. A przy treningu buty się niszcza. Tamte już do niczego, a w czerwcu mamy zawody — pokazuję zdarte zółwki.

— Aaa, jeśli kawaler jest Nurmi, to co innego — oświadcza na pół serio major. Zaraz zobaczmy. A kartka od kierownika jest?

Stas wyjmuje z kieszeni zmięty skrawek papieru.

— W porządku — oświadcza major — chodźmy do skrzyni. Oczywiście, do treningu trzeba mieć nowe buty.

Ale Stas-Nurmi z Katowic ledwie brodą sięga brzegu olbrzymiej

skrzyni. Major musi mu sam wybrać buty.

— Tylko mocne, panie majorze — prosi matę. Po chwili, przewiesiwszy stare buty przez ramię, Stas-Nurmi salutuje, mówi „czczeni” i uradowany wychodzi.

W drzwiach mija się z dwójkiem młodych ludzi. Zamierzają się pobrać w przyszłym tygodniu — proszą więc o „wyprawę”.

— Ja tam dla siebie nie wiele... mówi młody człowiek w mocno wyszarzanej kurtce — ale moja Weronka potrzebuje wszystkiego. Po tych dwóch latach w obozie w Austrii, wyszedł człowiek — za przeproszeniem — jak święty tu-recki.



Krys. Z. 50.

Od osmiu miesięcy są tu w Barlecie, pracują oboje. Tu się poznali przy pracy. Oboje są z Pomorza, no i teraz postanowili się pobrać.

Weronika odchodzi za przepięknie ze splezionych skrzyń i już po chwili dolatują nas radosne okrzyki zachwytu. Wreszcie staje przed nami elegancka, uśmiechnięta... Narzeczony tymczasem — za drugim przepięknie — przedzierzgnął się również w eleganckiego. Patrzą na siebie zachwyceni.

Otrzymał całą wyprawę odzieżową! Odchodzi uradowani, rozpromienieni, obładowani tobołkami — dziękując po kilka razy.

I znów ktoś wchodzi. — Tym razem dwie młode kobiety z dwójkiem dzieci. Proszą o sukienki i buciki dla córeczek, a dla siebie o trochę bielizny. Uciekając się do pomocy „pani na drabinie” (oficjalny tytuł), wybierają dość długo, przerzucają, przymierzają sukienki. A „pani na drabinie” z anielską wprost cierpliwością wędruje po szcabelach, wyżej i niżej, aż pod strop i znów na sam dół, gdzie zawija pakiety. Urządzuje tak na szcabelach całym godzinami... W zimie były tu aż trzy „panie na drabinach”, a jeszcze nie mogły nadążyć.

Para starszków, która wchodzi potem, ma skromne wymagania: trochę „otwój się” i „złoty” i „srebrny” bielizny, pończochy może... Bo to starej nie wypada „tak na bosaka”. Zadowoleni ze wszystkiego, co dostali, odchodzą.



Rys. Z. M.

— My tylko na chwilkę — wpadają dwie młode dziewczyny — musimy zamienić bieliznę, bo ta, którą wzięliśmy wczoraj, za ciasna.

A za drzwiami czeka jeszcze kilka osób.

— Czy to tylko dziś taka kolejka? — pytam.

— Nie. Codziennie rano i popołudniu przewija się tu po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osób — po odzież, po bieliznę, obuwie, produkty, lekarstwa. W zimie wydawano palta męskie, a nawet damskie futra. Przesyłano nam nie tylko rzeczy używane. Amerykańskie katolickie Domy Towarowe ofiarowały całe skrzynie bielizny i odzieży.

W magazynie S.P.K.P. znaleźć można — nihy w najlepszym domu towarowym — nieomal wszystko: doskonałą bieliznę, ubrania damskie i męskie, buty sportowe i pantofelki, kostiumy kąpielowe, wyprawki dla niemowląt obok wyt-

wornych tualet wieczorowych (tutaj zupełnie zbytecznych) ofiarowywanych z najlepszą myślą po możenia nieszczęśliwym uchodźcom polskim.

Magazyny S.P.K.P. w Barlecie dostarczały produktów żywnościowych i leków innym ośrodkom S.P.K.P. na terenie Włoch oraz do Niemiec i Austrii, zwłaszcza mleka kondensowanego dla naszych dzieci, uwolnionych z obozów niemieckich. Ogółem darami katolików amerykańskich oddzielono cztery tysiące osób w różnych osiedlach. Niestety, wszystko to jest niewystarczające, gdy się zważy, że tylko w Osiedlach Barletty i Trani przebywa około siedmiu tysięcy osób, nie licząc innych ośrodków rozrzucanych po całym Włoszech i gdy zważy się, że w innych miastach włoskich żyją jeszcze w warunkach niezmiernie ciężkich i chodzą w łachmanach setki, a może i tysiące Polaków. W Mediolanie na przykład cierpi skrajną nędzę kilkaset osób, w tym 80 studentów, wysiedleńców z obozów niemieckich. Żyją w opłakanych warunkach i nie mają na studia. Wszyscy potrzebują gwałtownie doraźnej pomocy.

M. MĘCINIŃSKA

NA DZIECI POLSKIE

przesyła za pośrednictwem redakcji „Ochotniczki” 1150 lirów — Podchorąży C. — Redakcja przekazała nadesłaną sumę Inspektoratowi P.S.K. celem skierowania tej sumy w myśl życzenia ofiarodawcy.



(rys. Sokołowskiego Mirosława)

Łuk Konstancyna w Rzymie

MALINY

Och! Jakże to niedawno a zda się, że lata!
Na tym zlotu maliny w płatwie zagajnika,
Lisę szeroki jest na dnio twój koszyka,
Maliny, maliny a jedna się w drugą zaplata.

Te chłodne i ostygłe, twarde i bez smaku
I te mokre od wion i słońca, przegrzane,
Nie jagody, lecz wargi niepocalowane,
Spod młotnego patrzące zodiaku.

Spiewaj teraz strumieniu/Niechże się szerwieni
Szczęśliwa okoliczność nad twoimi brzegi!

Przynęcaj smukłe sarny śpiewnymi zabiegami,
Urzeczony oczami zgonionych jeleni!

A ty, panno szczęśliwa po szyję w gestwinie,
Zgarniaj mokre maliny, pij ich słodką wonną,
Ich młodość bez rozterki i płochy i płonną,
Która i w twoich żyłach pulsuje i płynie!

Jest teraz tak szczęśliwie, że jest aż boleśnie,
By umrzeć za szczęśliwie, aby żyć za ciężko.
Między życiem a śmiercią idziemy tą ścieżką
Wśród malin, wśród malin, na jawie i we śnie.

JERZY SŁAWKOWSKI

THE BOOK IS OPEN

— Nareszcie — powiedział — będę mógł zabrać do nauki. Mam dwa tygodnie urlopu.

Mój urlop skończył się po dziesięciu dniach. Poszedłem do Felka, żeby się z nim pożegnać. Nie zastałem go w pokoju. Na stole leżała otwarta książka. Byłem niezmiernie ciekawy, czy zgodną, czy też nie zgodną, na której stronie książka jest otwarta. Zgadłem. Pierwsze zdanie, które przeczytałem, było: „The book is open”.

Potem już Felka nie spotykałem przez bardzo długi okres czasu. Dochodziły mnie tylko wieści, że cały czas był na froncie, że spisywał się bardzo dzielnie, że zdobył krzyż „Virtuti” i kilkakrotnie „Walecznych”.

Od naszego pierwszego spotkania w Tel Avivie upłynęło przeszło cztery lata. Przed tygodniem postanowiliśmy pojednać do m.p. Felka. Z trudem odnaleźliśmy jego kwatery. Gdy otworzyłem drzwi, Felka w negluzie stał na środku pokoju z książką w ręku.

— Felku, jak się masz? — zawołałem radośnie.

Westchnął ciężko.
— W związku z naszym wyjazdem do Anglii, zabrałem się do angielskiego. Najwyższy czas.

Zerknął w książkę, potem przymknął oczy i powtórzył monotonią:

— Dzy buk yz oupen, dzy buk yz oupen...

M. SADEK

LIST DO REDAKCJI

O WSZYSTKIM PO TROCHĘ

Kochana Redakcjo „Ochotniczki”! List ten piszę dosłownie na wsiadym. A pszę dlatego, że w ostatnich tygodniach uzbierało się dużo spraw i pytań na temat tych spraw ogólnych a także osobistych. Nasz wyjazd z Włoch odbywa się pod znakiem smutku i niepewności. Nie wiemy, co nas czeka, a wiemy, że opuszczamy swój kraj, pełny sił i owoców. Opuszczamy kraj, w którym ciągle, do ostatka była w nas wiara, że stąd wrócimy do wolnej Polski. Tak stąd przecież blisko do Kraju!

Stato się inaczej. Nie należy szukać, ani wskazywać winnych, nie należy tracić cierpliwości. Trzeba dalek wierzyc, że wszystkie drogi, nawet te niespoziwane i przykre, wiedzą nas do celu. Tymczasem musimy nastawic się psychicznie na to, co będzie tak zupełnie inne niż było dotąd. Choćż bowiem budujemy przez pewien okreszony czas Polskim Korpusem Przynosiennym, praca nasza będzie inna. Może to będzie praca „dla siebie”, jak się to mówi, może w istocie nauczymy się tego życia cywilnego według „przebisów” angielskich, ale choćż przebywanie w obozie będzie w wojskowy sposób organizowane — nie będzie to już wojsko, nie będzie P.S.K. z jego troskami i radościami, nie będzie znanym trybem życia — „od pobudki do capstrzyku”.

Nieraz mówiliśmy między sobą o tym, czy nasze pismo będzie dalej istniało w Anglii. Ciagle nas tu „strasza” że tam wszystko napotyka na trudności, ale nie chcemy w to wierzyc, żeby w tym nam nie przyszła pomoc. Bo my przecież musimy mieć swoje pismo i nawet dobrze by było, żeby nadal nazywało się „Ochotniczka”, dla tradycji choćby. Jeżeli rozprzeczmy się po świecie, to tym bardziej proszmy się o światle, tak pismo kobiece, które będzie nas informować o wszystkim, co się dzieje i wskazywać na kierunek myślenia i odczuwania.

Zdaje mi się, że kobiety polskie do tej pory wykazywały dużo hartu i orientowały się w sytuacji. Być może, że dyktuje im to intuicja, ale na pewno wynika to także z coraz szerszych zainteresowań i potrzeby, aby nie zatracić kontaktu, gdziekolwiek wypadnie nam przebywać.

Dużo trosk sprawia nam również wybranie zawodu, który by nam pozwolił przetrzymać ten czas uchodźstwa. Rozumiemy, że muszą to być przede wszystkim zawody rzemieślnicze, gdyż na takie jest pobyt na świecie. Krawiectwo fryzjerstwo, kapelusznictwo, rękawicznictwo, górszariatwo, kucharstwo — w pierwszym rzędzie. Ale istnieją jeszcze zawody rzemieślnicze artystyczne, wiec ceramika, tkarstwo, kilimkarstwo, koronkarstwo, haftkarstwo. Napewno dobry

smak Polak złobiedzie sobie rynek i uznanie u obcych. Nasze piękne motywy i barwy ludowe zawsze podobaly się za granicą. Przed wojną na wystawie w Chicago były nasze lalki w strojach ludowych wprost rozchwytywane. Bardzo to ważne, żebyśmy nauczyły się artystycznego przemysłu. I dla nas samych ważne — bo nie zerwiemy z naszą rodzimą, ludową kulturą i nie ulegniemy tak łatwo obcemu wpływowi.

Nie wiemy jednak, jak i kto zorganizuje to uczucie się zawodów. Ludzimy oczywiście na nasze władze PSK, które nas na pewno nie zostawią bez opieki. Przywykłyśmy już do tej opieki i przynętybśmy, aby jeszcze, jak długo można, trwała. Tyle jest młodych wśród nas, które muszą być jeszcze kierowane, za nimi się „wykierowała na ludzi”. A i starszym nie łatwo będzie usamodzielnić się w obcych środowiskach.

Jeżeli już mowa o młodych, to dobrze by było, gdyby nasza młodzież mogła jak najdłużej korzystać ze szkół. To, co zapoczątkowano tak pięknie w 2. Korpusie, nie powinno ani na moment być przerwane. Trzeba nam kadr inteligencji, zwłaszcza tej starszej, która swoje studia skierowała tylko na użytek Polski i Polaków. Inżynierowie, lekarze, technicy, chemicy — mają zawody „młodych, narodowe”, więc może łatwiej znaleźć pracę. Ale prawnicy i nauczyciele mogą się znaleźć w ciężkiej sytuacji. Ich „specjalności” nie nadają się „na wyнос”.

Pozbiera się nas tam w Anglii spora gromada kobiet w mundurach i tak samo spora gromada rodzin wojskowych — w cywilu. Już od razu trzeba się tak wystrzemić, żeby żyć w zgodzie, żeby coś wspólnymi siłami osiągnąć na rzecz wszystkich. Te ciężkie lata wojny wiele nas nauczyły, a już napewno kształciły nas w duchu wzajemnej pomocy. Bardzo wiele zależy od kobiet, żeby nasza emigracja zaszyla sobie na dobrą opinię wśród obcych. Bada na nas patrzeć uważnie. Starajmy się nie dać powodu do krytyki obmowy itp.

Proszę mi wybaczyć, że piszę o wszystkim po trochu i to w takim porządku, jak mi przychodzi na myśl. W pośpiechu, wśród pakowania, pletzących się waliz i pakunków własnych i kolegank, mogę tylko po lebkach poruszyć te ważne zagadnienia, o których nieraz przegadaliśmy wiele godzin, myśląc nie tylko o sobie ale o wszystkich skazanych na los tułaczy.

Wierzymy jednak mocno, że Bóg, któremy wiele z nas ocalał od śmierci, wziętą, zagłady — i teraz nas nie opuści. że pozwoli nam wrócić do Polski i tam pracować według sił, a nawet ponad siły. Wszystkim koleżankom, które jeszcze mają czas zostana na ziemi włoskiej, jak i czas zostanie! I tak samo — mówimy „do widzenia”! I tak samo — do widzenia „Ochotniczki”!

WITA



Wyjazd ochotniczek z Włoch do Anglii

Fot. Szumański

NASZE PISMO

1943 - 46

Kiedy we wrześniu 1943 roku spod prasy jerozolimskiej drukarni wyszedł pierwszy numer „Ochotniczki”, najeżyły się kołce krytyki, a w najlepszym razie trzeba było zadowolić się łaskawą wyrozumiałością. I słusznie. Kogoż to znów mogło tak bardzo obchodzić, że pismo PSK po długich a ciężkich perypetiach ukazało się drukiem? Właśnie drukiem a nie na cyklostylu, właśnie ilustrowane i z niejaką pretensją do estetyki graficznej. Pismo, które zaczęło swoje istnienie bez „kapitału zakładowego”, a którego redakcja i administracja składała się z jednej osoby, nie wroźono długiego żywota. Dwa, najwyżej trzy numery — a skończy się ta impreza PSK nie tylko deficytem, ale wyzerpnięciem także tematyka tak specyficzna, bo kobieco-wojskowa.

W istocie — z tematyka było trudno. Jeżeli tak można powiedzieć była: dwustronna. Na jednej stronie grał motyw więzień, zagrob, posiłków; na drugiej — sprawy PSK. Łaczyła te dwa motywy intencja wychowawczo-ideowa, ale to rozumiało się samo przez się. Po to przecież powstało nasze pismo w palestyńskim Rehovoth, aby jeszcze mocniej zespalać naszą gromadę, aby to i owo prostować, a ciągle i uparcie na jedne i to samo wskazywać.

Tymczasem „Ochotniczka” przetrzucała z drukarni do drukarni — od Jerozolimy do Tel Aviv i z powrotem — żyła wyrwane, o święcie siwym i wilgotnym w zimie, a wiosną różnowiejącym nad pardesami, jeździło się autobusem

do tych miast, aby zawsze na nowo rozpoczynać z Anglikami targi o papier, o cynk, o przydział drukarni. Potem, już z Quassasin w Egipcie, gdzie poranne niebo miało zmatowiałą barwę starych skarabeuszy, auto, kołyszając się na falistej szosie pustyni synajskiej, prując szare burze piaskowe — biegło tak samo do Jerozolimy do drukarni. Czterdzieści lat po tej pustyni prowadził Mojżesz swój lud. Auto, o ile nie było defektu, przebywało tę przestrzeń w 7-8 godzin. Czasem przedłużał czas prom na kanale suezkim, czasem rewizja graniczna.

Te zbierane po drodze wrażenia biblijno-przestrzenno-pejsażowe zawsze napełniały zdumieniem i podnosiły — w poczuciu redaktorki oczywiście — znaczenie pisma. Jeszcze dziś wśród trzydziestu sześciu numerów „Ochotniczki” — majowy numer roku 1944 wyróżnia się tantymi doznaniem, a zwłaszcza tamtą chwilą. W Jerozolimie dopadła bowiem redaktorkę wiadomość o zwycięstwie na Monte Cassino i wszystkie rocznice majowe, składające się na treść numeru, przyciągnęły się do tego pierwszego wojennego tryumfu 2. Korpusu.

Ten majowy numer „Ochotniczki” zresztą obalal już opinie, że pismo nasze przeznaczone jest tylko dla „klanu” PSK.

Po prawie trzymiesięcznej przerwie, spowodowanej wyjazdem do Włoch i trudnościami, które od tej chwili nie zawsze były „natury technicznej”, pismo nasze, wchodząc dotychczas w

skład Inspektoratu PSK, znalazło z początku „przytułek” w Oddziale Kultury i Prasy 2. Korpusu. W kilka miesięcy potem „Ochotniczka” została rozkazem Dowódcy 2. Korp. wcielona do Wydziału Czasopism i Wydawnictw tego Oddziału.

W tych nowych warunkach napewno było „Ochotnicze” pod wielu względami lepsze. Ale nie na różach, nie na różach... Na redakcję, która składała się już z dwóch osób, a z czasem powiększyła się do czterech — z początku nie było miejsca; o papier, jakżeby inaczej, trzeba było targować się w drukarni polowej na Piazza Collegio Romano — ciasno i burzliwie... Ale „intruz” zaczął zbyć i trwał, urządzając bodaj na korytarzu, rozwał się, nabierał werwy, aż przekonał niechętnych, że ma prawo do istnienia.

Trzeba tu jednak sprawiedliwie zaznaczyć, że pismo nasze doznawało w tych dwóch rzymskich latach życzliwej opieki Kierownika Wydziału Czasopism i Wydawnictw Wojskowych, por. Telmaniego. Pomagał, wspierał nas jak mógł, a nieraz i ponad możliwość. Nie wątpiwiwie jego zasługą jest, że pismo nasze z wolna otrzymywało coraz lepsze warunki pracy i tym samym mogło osiągać coraz lepsze wyniki.

Teraz — gdy zamykamy wrzesniowym, trzydziestym szóstym numerem, trzylecie pisma, gdy opuszczamy Rzym i Włochy, pytają nas nasze czytelniczki i czytelnicy, czy będziemy kontynuować wydawnictwo w Anglii. Mówia przyjaźnie, że pismo było dobre i lubiane, że spełniało swoje zadania. Doprawdy — pismo nasze pozyskało sobie wielu przyjaciół, a nawet entuzjastów. Nie wypada nam powtarzać tych pochwał, które stopniowały się aż do „naj”. I choć uznanie jest nagrodą za pracę, choć jest zadośćuczynieniem — to, co odczuwamy, nie jest niczym innym tylko wdzięcznością. Toteż dziękujemy serdecznie władzom, stałym współpracownikom, pisarzom, artystom, Referatowi Fotograficznemu, kierownikowi i pracownikom drukarni i przyjaciółom pisma za poparcie, pomoc, dobre słowa i miłe listy — za wszystko, co składało się na podniesienie poziomu pisma, jego spopularyzowanie, możliwość oddziaływania.

Tym, którzy nas pytają, czy pismo będzie dalej ukazywać się w Anglii, odpowiadamy, że chcemy i wierzymy w to. Być może, że po krótkiej przerwie będzie wznowione. Nie będzie już jednak „pismem PSK”. Numerem wrzesniowym — trzydziestym szóstym — żegnamy się z koleżankami i czytelnikami, aby może pod inną nazwą, może w zmienionej szacie zewnętrznej — podjąć te same zadania, głosić te same myśli, pojęcia, uczucia. Być łącznikiem i doradcą na obczyźnie, być przyjacielem i skupiać wokół siebie tych, którzy naszemu piśmu zaufają.

REDAKCJA „OCHOTNICZKI”

TREŚĆ NUMERU:

- | | | | |
|---|--------------------------|--|--------------------|
| 1. Do żołnierzy 2. Korpusu | M. Miż | 16. Addio Italia! | K. Zamor-ki |
| 2. Szlakiem polskiego września | B. Żena Olex | 17. W Anglii — mów tylko o pogodzie | Beata Obertyńska |
| 3. Gwiazdy nad Warszawą | Tadeusz Schaezel | 18. Na zakończenie dyskusji o młodzieży | Zofia W.ńkowi-zowa |
| 4. Rosja a Turcja | Bożena O'lex | 19. Ballada o kadziach | Artur Międzyrzecki |
| 5. * * * | M. M. | 20. W dniu Imienin Inspektorki P. S. K. | Herminia Naglerowa |
| 6. Konferencja nie... pokoju | Helena Możyr-ka | 21. Pięć lat P. S. K. | |
| 7. Federacja Amerykanów środkowo i wschodnio europejskiego pochodz. | | 22. Kursy i szkoły P. S. K. na terenie Włoch | |
| 8. Przemilczana półkula | | 23. Ślady | Zyła Mazza |
| 9. O miejsce jednolitego osiedlenia | | 24. Zaczarowany fortepian | Z. M. |
| 10. Wszystko przyczynia się ku dobru | C. J. Krasinski O. S. B. | 25. W zatoce i na wyspie | Barbara Toporska |
| 11. S. p. Ignacy Matuszewski | Bohdan Pod-iski | 26. Magazyn P. S. K. w Barlecie | M. Męcińska |
| 12. Poezja Wierzyńskiego | Jan Bielatowicz | 27. Maliny | Jerzy Stawkowski |
| 13. Młode pokolenie chłopów | Stanisław Chylnacki | 28. The book is open | N. Sadek |
| 14. Paryż nadal przoduje | Marian Bohusz Szysko | 29. List do Redakcji | |
| 15. Popularność to nie wielkość | Henryk Swol-ien | 30. Nasze pismo (1943 — 1946) | |

WŁOCHY, 1946 r.

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62



„Ochotniczkę” nabywać można w Referacie Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P. S. K., w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach